



Barbara McCauley



*Prywatne życie
gwiazdy*

Tytuł oryginału : *Miss Pruitt's Private Life*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Droga Marcy!

Chcę pojechać pociągiem z Zachodu na Wschód, poczynając od Wybrzeża. Ma to być właściwie podróż bez bagażu. Czy umiałabyś mi doradzić, jak mam się spakować na długą podróż tego rodzaju?

Angie z Anaheim

Marcy popatrywała przez okno swego wagonu sypialnego na mijane pędem teksańskie sawanny. Tu i ówdzie pasło się stado bydła obojętnego na przejeżdżający w pobliżu pociąg, z rzadka pojawiały się jakieś farmy, z obowiązowym metalowym wiatrakiem, napędzającym pompę wodną... Horyzont drgał od upału mimo wczesnej pory dnia. Był środek lata. Wtem dała się słyszeć melodyjka telefonu komórkowego Marcy.

Tysiąc mil od Los Angeles, a to wciąż działa...!

Zerknęła na zegarek. Była ósma trzydzieści czasu Los Angeles. Czekwała na ten telefon. Szefowa nie mogła przecież nie zareagować na wiadomość, którą jej zostawiła:

„Witaj, Helen. Jednak biorę te trzy tygodnie wolnego. Bądź tak dobra i przeproś w moim imieniu wszystkich naszych kontrahentów. Aha, i niech Anna poprawi, co trzeba w moim terminarzu. To tyle, pa. Marcy”.

Wiedziała, że Helen Dunbar nie spodoba się ta notatka!

Westchnęła, jako że telefon nie przestawał dzwonić.

No dobrze, powiedziała sobie, miejmy to może już za sobą.

Sięgnęła do kieszeni swojej granatowej bluzy. Wzięła głęboki wdech i nacisnęła guzik oznaczony słuchawką.

– Cześć Helen, to ja.

– Marcy, skarbie! – usłyszała głos po drugiej stronie. – Znalazłam twój liścik i myślę, że musimy jednak pogadać.

– Kiedy nie ma o czym gadać. – Marcy wzruszyła ramionami. Postanowiła być nieprzejeđnanie asertywna.

– Jak to nie ma o czym? – zmartwiła się Helen. – Słuchaj, a może ja cię odwiedzę, zrobimy sobie kawę i...

– Nie zrobimy kawy – przerwała jej Marcy – bo ja w tej chwili jestem dość daleko od domu.

– Co to znaczy „daleko od domu”?

– Po prostu. Wyjechałam.

– Wyjechałaś? Ależ, dziecko, przypominam ci, że o pierwszej trzydzięści mamy kolegium redakcyjne, na którym zamykamy numer. A trzeba jeszcze ustalić, kto napisze o klasycznych lnianych bieżnikach na stół, no i te nowe pomysły na wypychanie poduszek...

W związku z wypychaniem, Marcy miałyby od razu pewien pomysł. Ćwiczona jednak przez dwadzieścia sześć lat kindersztuba nie pozwoliła jej go przedstawić.

– Helen, mnie nie ma w domu – powtórzyła tylko. – Nie ma mnie również w Los Angeles i nawet w Kalifornii.

– Gdzie cię nie ma?!

W aparacie coś głośno brzęknęło. W następnej chwili Marcy usłyszała zdławione przekleństwo i komentarz w związku z czymś rozlanym „na nowy kostium”.

Odczekała moment.

– Helen, ja ci przecież tłumaczyłam... – odezwała się, wyciągając równocześnie z torebki tamto zaproszenie na wieczorek paniński i ślub. – Tłumaczyłam ci, że muszę...

– Nic nie musisz – burknęła Helen – nic nie musisz. Nawet nie możesz. We wtorek, przypominam ci, masz wywiad dla „Stylowego Domu”. We czwartek. Czyżbyś zapomniała...? Jest spotkanie z kierownictwem programowym telewizji w sprawie twojej premiery na antenie. A w piątek bierzemy obie udział w obiedzie dobroczynnym u Ritza–Carltona.

Myśl o tasiemcowych posiedzeniach, gorączkowej robocie i ganiu z jednej imprezy na drugą sprawiła, że Marcy odruchowo sięgnęła do torebki po swoje pudełeczko z relanium.

Przez chwilę wpatrywała się w lek, po czym wsunęła go z powrotem do torebki. Zamiast relanium wyciągnęła opakowanie orzeszków w czekoladzie. Wiedziała, że słodczyce nie uspokajają nerwów, ale przecież na pewno i zawsze poprawiają nastrój.

– Nic z tego – rzuciła do aparatu, próbując jedną ręką dobrać się do orzeszków.

– Ty chyba... ty chyba żartujesz – głos Helen zmienił się.

– Nie żartuję. Słuchaj, ja już trzy miesiące temu błagałam cię o te wolne dni. I miałaś to uwzględnić w terminarzu.

– Ale nie wszystko da się zrobić, nie wszystko da się przewidzieć. – Helen nieco złagodniała. – Bo czyż nie nagle zjawiała się ta telewizja?... Również twoją rubrykę „Życie z Marcy Pruitt” chce mieć od nas na licencji aż siedem miesięczników! A twoja ostatnia książka znalazła się w „Time” na pierwszym miejscu listy bestsellerów literatury faktu... Stałaś się, skarbie, osobą publiczną. I teraz nie możesz zawieść swoich fanów. Nie bądź samolubna.

Marcy oparła się o zagłówek. Zamknęła oczy, poddając się łagodnemu kołysaniu pociągu.

Może i jestem samolubna, pomyślała. Sporo ludzi rozczaruję... Trzy tygodnie to kawał czasu...

Otworzyła oczy i powtórnie zerknęła na ślubne zaproszenie. .. No, ale to przecież Clair Beauchamp wychodzi za mąż! I Marcy ma być jej pierwszą druzną... W college'u Clair była jej największą przyjaciółką, jakże odmienną od niej samej. Clair wydawała się wszechstronnie obdarowana przez los, podczas gdy Marcy była chorobliwie nieśmiała, nosiła okulary w grubych oprawkach i zawsze ulizane włoski.

Co za ironia, że po latach owe okulary i grzeczna fryzurka miały stać się elementem publicznego wizerunku Marcy, czymś, co polubiły tysiące Amerykanek i po czym wszędzie ją rozpoznawano.

– Helen, to i owo da się może uratować. – Postarała się uśmiechnąć do słuchawki. – Na przykład negocjacje z telewizją mogłaby w moim imieniu poprowadzić Anna.

– Chryste! – głos po tamtej stronie zabrzmiał piskliwie. – Chcesz mieć dublerkę w swojej sekretarce? Jakim cudem!

– Nie, bez cudów... Ale przyznasz, że Anna ma różne swoje talenty, o których, ty na przykład, nic nie wiesz, bo jej nie obserwujesz.

– No dobrze, dobrze, wiem, że jest zdolna i tak dalej, ale...

– Widzisz. Wobec tego na pewno wszystko będzie dobrze. – Marcy zaczęła krążyć kciukiem wokół guziczka z czerwoną słuchawką. – Zobaczysz, że tak będzie.

– Skarbie, chwileczkę! Ja w różne takie improwizacje absolutnie nie wierzę! Powiedz mi teraz, gdzie jesteś i dokąd jedziesz. Ja muszę jednak koniecznie się z tobą zobaczyć.

Aha, tego jeszcze brakowało! Mowy nie ma. Marcy odjęła aparat od ucha i przyglądała mu się z pewnego oddalenia przez kilka sekund.

– Wybacz Helen – powiedziała głośno. – Zobaczymy się, no cóż, dopiero za trzy tygodnie.

Po czym wyłączyła swój telefon i wsunęła go z powrotem do kieszeni bluzy.

Przez ostatnie cztery lata niemal każdy jej dzień był starannie zaplanowany. Spotkania, kontakty z mediami, podpisywanie książek, negocjacje ze sponsorami i znowu spotkania... Działała z ogromną energią, ale przez całe cztery lata nie miała aż do dziś ani jednego wolnego dnia dla siebie.

Tak nie można żyć. Tak na pewno nie można żyć!

No i dlatego nie ustąpiła Helen i cieszyła się teraz, że umiała być stanowcza. Mimo to ręce drżały jej nieco ze zdenerwowania.

Sięgnęła po orzeszki w czekoladzie.

Tak: należą jej się te trzy tygodnie... Uczciwie na nie zapracowała. Cztery lata nieustannych wysiłków...

Sięgnęła po kolejnego orzeszka, spojrzała w okno i uśmiechnęła się do siebie, zupełnie już odprężona i zadowolona.

Za oknem od podłogi do sufitu Evan Carver widział wielki basen obleżony przez gości hotelowych. W jednym końcu grupa chłopców grała w piłkę wodną. W drugim – pewna brunetka w zaawansowanej ciąży schodziła właśnie na płyciznę z dwiema malutkimi dziewczynkami. Na tarasie, pod parasolem w błękitne pasy, trójka starszych panów w kolorowych hawajskich koszulach i w kowbojskich kapeluszach grała w karty.

Po przeciwnej stronie, na łózkach plażowych, leżały rzędem piękne, kobiece ciała, raczej skąpo odziane.

Evan skupił na nich spojrzenie i uśmiechnął się.

– To dziwne, jej komórka milczy. – Słowa te zabrzmiały za jego plecami, więc się obejrzał.

– Słucham? Czyja komórka?

Clair Beauchamp, narzeczona jego brata, odsunęła telefon.

– Marcy. Cały czas odzywa się tylko jej operator. Clair siedziała przy delikatnym biureczku z drewna

wiśniowego i szkła i wyglądała raczej jak jedna z pań przy basenie niż poważna właścicielka dużego hotelu. Miała na sobie ciemnoniebieski żakiet, idealnie pasujący do koloru oczu. Natomiast czarne sięgające do ramion włosy dobrze komponowały się z jej minispódniczką.

Evan znowu się uśmiechnął, bo obserwowanie Clair zawsze było czystą przyjemnością.

A któż to jest Marcy, zastanowił się. Aaa, to może być ta druhna jego przyszłej bratowej, ta, która ma przyjechać z Los Angeles.

Wzruszył ramionami.

– Może po prostu wyłączyła komórkę.

Clair pokręciła głową.

– Ona nigdy nie wyłącza komórki. Nie ma takiego zwyczaju. – Zaczęła bębnić palcami po blacie. – Do licha, nie wiem, co zrobić... Bo miałam ją odebrać z dworca, ale dzień wcześniej wrócił ten facet z „Texas Travel” i nie mogę mu teraz odmówić konsultacji.

– Nie martw się. – Evan ponownie zaczął obserwować basen. – Ja ją mogę odebrać. Mam trochę wolnego czasu.

– Jakiś ty miły! – ucieszyła się Clair. – Ale pamiętaj, nie musisz... Mogę po nią przecież wysłać kierowcę naszego firmowego busa.

– A po co? – Evan dalej z roztargnieniem przyglądał się dziewczynom w bikini. – Jacob, zanim pojechał do Filadelfii, prosił mnie, żebym był ci we wszystkim pomocny, więc chcę ci pomagać.

– Nie do Filadelfii, a do Bostonu.

– W porządku, do Bostonu. – Odwrócił się w stronę Clair i spojrzał na zegarek. – O której przychodzi pociąg z Los Angeles?

– Jedenasta piętnaście.

– Uhm, to jest jeszcze chwila... A jak poznam tę twoją Marcy?

Clair sięgnęła do szuflady i wyjęła z niej jakieś pisemko. Podniosła się zza biurka i podeszła do Evana.

– Proszę. Jest tu na okładce. Przyjrzał się pismu.

– „Życie z Marcy Pruitt”? – Evan pytająco popatrzył na Clair, po czym zaczął kartkować magazyn.

Zorientował się, że jest to jeden z tych ekskluzywnych miesięczników dla pań, o modzie, zdrowiu, prowadzeniu domu i tak dalej.

Wrócił do okładki. Królowała na niej znana mu skądś brunetka w okularach w rogowej oprawie, siedząca na lawendowej łące. Ubrana była też na lawendowo. Trzymała w ręce bukiet – oczywiście lawendy. A na dole był podpis: „Pola lawendowe na zawsze” .

Lavender Fields Forever – nawiązanie do przeboju Beatlesów Strawberry Fields Forever, "Pola truskawkowe na zawsze" – przyp. tłum.

– Czy ona... – zawiesił głos. – Czy ona nie pisze czasem książek?

– O! Czyżbyś o niej coś słyszał? – Clair była wyraźnie zdziwiona. – Rzeczywiście, pisze książki. Stworzyła dotąd aż dwie: „Łatwe życie z Marcy Pruitt" oraz "Absolutnie łatwe życie z Marcy Pruitt". To są takie poradniki domowe. Zresztą dzięki nim Marcy, moja przyjaciółka z college'u, zrobiła światową karierę.

– Co ty powiesz! – Evan pokiwał głową. Ponownie zaczął się przyglądać brunetce na okładce i pomyślał, że ma przed sobą dosyć dziwny typ kobiety, jakby skrzyżowanie zahukanej prowincjuszki z nader sprytnym kociakiem. – Słuchaj, Clair, a tak w ogóle, to czy ona jest... wolna?

– Wolna? – Clair uniosła brwi. – Cóż, w tym sensie, w jakim pytasz, jest wolna. Ale to raczej nie jest twój typ.

– Skąd wiesz! – Wzruszył ramionami. – Powiem ci, że im dłużej żyję, tym bardziej dochodzę do wniosku, że wszystkie kobiety na świecie są moim typie.

– Ach, no tak! – Clair wyjęła magazyn z rąk Evana. – W takim razie nie wiem – dodała i zerknęła w jego stronę – czy dobrze robię, wydając biedną Marcy w ręce kogoś takiego jak ty?

Uśmiechnął się niewinnie.

– No nie, ja jestem przecież kompletnie nieszkodliwy.

– Nieszkodliwy! Tak mówią wszyscy mężczyźni... Dokładnie to samo mówił, na przykład, twój brat, kiedy go poznawałam... A teraz patrz. – Uniosła rękę i błysnęła swoim pierścieniem zaręczynowym. – Widzisz chyba.

Zaśmiali się oboje.

Evan znów spojrział na zegarek.

– Pora chyba jechać po tę Marcy Pruitt – powiedział. – Rogowe okulary i ulizane włoski. Cała na lawendowe. Tak mówisz?

– O ile ją znam – Clair ruszyła w stronę biurka – przyjedzie może trochę zamaskowana, dla ochrony przed fanami. To znaczy w swoim odwiecznym, białym kapeluszu. Orientuj się więc w tłumie na kapelusz.

– Lawenda i kapelusz, rozumiem. – Evan skinął głową. – Swoją drogą, to ciekawe, na czym może polegać „łatwe życie z Marcy Pruitt”, a zwłaszcza „absolutnie łatwe życie z Marcy Pruitt”...

Pociąg z Los Angeles wjechał na peron dokładnie kwadrans po jedenastej. Marcy, w białym kapeluszu z wielkim rondem i z małą walizką, stanęła w drzwiach wagonu. Rozglądała się przez chwilę. Nigdzie nie mogła dostrzec Clair.

Wyszła na zewnątrz i podeszła do ławeczki. Postawiła na niej swą walizkę i postanowiła czekać. Minęło ją rozświergotane stadko podlotków w białych koszulkach z nadrukiem „obóz winnemonka”. Wnioskując z ich energii i podniecenia Marcy uznała, że dziewczęta raczej nie wracają z obozu, a dopiero się nań wybierają.

Clair nigdzie nie było... Jej wzrok przyciągnął jakiś wysoki, przystojny brunet, wyrastający ponad głowy tłumu, który rozglądał się, skrzyżowawszy ramiona na szerokiej piersi.

Niezły gość, pomyślała Marcy.

Brunet miał chyba ze dwa metry wzrostu, był muskularny i mocno opalony, jakby pracował na powietrzu. Kwadratowa szczęka, duże dłonie, oczy – jakie on ma oczy, zastanowiła się Marcy? Chyba piwne, o ile da się to ocenić z niezbyt bliska.

A na kogo on tak spogląda?... Aha, pewnie czeka na tę blondynkę, która właśnie opuszcza wagon. Oboje spojrzeli na siebie i wymienili uśmiechy.

Ma dziewczyna szczęście, pomyślała Marcy z westchnieniem.

Jednak, o dziwo, brunet nie ruszał się z miejsca, blondynka zaś zaczęła witać kogoś innego.

Wtedy Marcy usłyszała za sobą kogoś, kto zwracał się najwyraźniej do niej.

– Bardzo panią przepraszam...

Obejrzała się i dostrzegła dwie damy w średnim wieku, obie w koszulkach ze znanym jej już nadrukiem „obóz winnemonka”.

– Bardzo przepraszam – powtórzyła niższa z nich, z rudymi loczkami.

– Czy pani Marcy Pruitt?

– Ja? – Marcy, która pragnęła być tutaj incognito, zwlekała z odpowiedzią.

Nie zamierzała dać się łatwo poznać. Specjalnie nie założyła swoich słynnych okularów, żeby nie być łatwą do rozszyfrowania.

– Mówiłam ci, Alice – odezwała się cicho druga dama – że to nie ona. Wcale nie jest podobna do Marcy.

– Na miłość boską, Betty Lou. – Alice pokręciła głową. – Gdzie ty masz oczy? Włóż swoje szkła, jeśli niedowidzisz.

– Ja niedowidzę! – obruszyła się Betty Lou. – Dobrze sobie!

– Bardzo panią przepraszam za przyjaciółkę. – Alice uśmiechnęła się do Marcy. – Obie czytałyśmy niedawno pani artykuł o własnoręcznie robionych kartkach pocztowych, z wykorzystaniem starych koronek, suszonych kwiatów i tak dalej. Był naprawdę świetny.

Betty Lou wciąż nie wydawała się przekonana.

– Alice! – Ujęła pod ramię przyjaciółkę. – Nasze dziewczynki już znikają... Chodźmy.

W tym momencie zabrzmiał trzeci głos. Męski.

– Kotku, wypatruję cię i wypatruję.

Marcy zatkało. Stał przy niej, ba, objął ją ramieniem tamten brunet.

I co on powiedział? Kotku?

W następnej chwili zaczęło się robić coraz dziwniej, bo ten wysoki przystojniak bez ceregieli pocałował Marcy w policzek.

– Przyszyła mnie Clair. – Uśmiechnął się szeroko.

Zamrugła oczami.

– Clair?

– No oczywiście. Chyba ją znasz.

Na moment sam Evan stracił pewność, że rozmawia z właściwą osobą... Baczniej przyjrzał się podróżnej w kapeluszu. Jej twarz była niby podobna do tamtej z okładki magazynu, ale brakowało przecież charakterystycznych okularów, więc kto wie, może to nie Marcy? Rysy wydawały się jakby bardziej miękkie... A oczy? Oczy miała koloru wiosennej szafwii. Zielonkawe. Tak jak u panny Pruitt.

W końcu Evan postanowił, że raczej ma do czynienia z panną Pruitt.

Otoczył jej kibić ramieniem.

– Z kim rozmawiałaś, skarbie?

– Te panie... – Marcy zacięła się. – Te panie myślą, że ja jestem Marcy Pruitt.

– To Alice tak myśli – odezwała się Betty Lou. – Bo ja zdecydowanie nie.

– Rozumiem. – Evan skinął głową. – Mojej żonie co jakiś czas zdarzają się takie rzeczy. Proszą ją nawet o autografy, ponieważ myślą ją z tamtą... z Marcy Pruitt.

– A nie mówiłam! – zatryumfowała Betty Lou. – To nie ona, widzisz Alice. Prawdziwa Marcy przede wszystkim nie jest zameżna, chyba o tym wiesz. A ta pani ma męża.

– A ja bym przysięgła... – Alice zrobiła zafrasowaną minę.

– Proszę nam wybaczyć... – Evan zdjął z ławeczki walizkę Marcy. – Na nas pora; zabieram żonę do domu.

– My też już się śpieszymy. – Betty Lou wyciągnęła szyję w kierunku znikającej grupy obozowiczek, tych z napisami na koszulkach „obóz winnemonka”.

– I wobec tego, cóż, przepraszamy za kłopot – dorzuciła Alice.

Evan uśmiechnął się i ruszył, pociągając za sobą Marcy, w przeciwnym kierunku niż ten, który obrały obie damy. Uszli zaledwie kilka kroków.

– Chwileczkę. – Marcy zatrzymała się. – Ale właściwie kim pan jest i dokąd my idziemy?

– Ja? Ja jestem Evan. Evan Carver.

– Carver? – ściągnęła czoło, w wyrazie skupienia. – Ach, zaraz... To może pan jest bratem Jacoba!

– Otóż to – potwierdził. – A co do Clair, to narzeczona brata próbowała do ciebie dzisiaj parę razy dzwonić, ale...

– Ale ja wyłączyłam telefon – Marcy dokończyła za niego. – I zrobił się kłopot.

– Prawdopodobnie. No, w każdym razie Clair nie mogła cię sama odebrać z dworca, bo nagle musiała się zająć czym innym. I wysłała mnie... Chyba możemy sobie mówić po imieniu?

Marcy uśmiechnęła się.

– Oczywiście. – Powoli ruszyła. – Aleś mnie nastraszył. .. – zerknęła na Evana.

– Ja? Dlaczego? Ja jestem znany z kompletnej nieszkodliwości.

– Dlaczego! Dobrze sobie. Jakiś nieznajomy ni stąd ni zowąd nazywa mnie „kotkiem”, potem „żoną”, obejmuje i zaczyna całować...

– Wybacz. – Uśmiechnął się do niej. – Clair powiedziała, że podróżujesz zamaskowana, incognito, więc chciałem cię jakoś wspomóc w starciu z tamtymi starszymi damami. Potwierdzić twoje alibi.

– No tak, to prawda. – Marcy włożyła ręce do kieszeni swojej bluzy. – Muszę ci być wdzięczna.

Evan nic nie odpowiedział. Uniósł lekko w górę walizkę Marcy i nią potrząsnął.

– Jak na trzy tygodnie urlopu, bagaż masz nieduży?

– Zgadza się. – Poprawiła zsuwającą się z ramienia płócienną, haftowaną torbę. – Właściwie w ogóle nie lubię bagaży. Nie cierpię się pakować. Spisywanie tych wszystkich rzeczy, które ma się do zabrania, buszowanie w szafach i komodach...

– Spisywanie? – wpadł jej w słowo. – A co jest złego w pisaniu? Ty podobno żyjesz z pisania. Powinnaś to lubić.

– No, żyję nie tylko z tego. – Marcy wzruszyła ramionami.

Evan przyjrzał jej się ciekawy, dlaczego zignorowała ten żart. Miał w tej chwili ochotę trochę pożartować.

– Zamierzasz swoim czytelniczkom doradzać również w kwestii podróży incognito? – dalej prowokował.

– Oczywiście. Tekst dokładnie na taki temat redakcja zamówiła u mnie na grudzień. A moja podróż tutaj ma charakter częściowo badawczy.

Przez ułamek sekundy myślał, że Marcy mówi serio, ale dostrzegł lekko uniesione kąciki jej ust. A więc ona ma jednak poczucie humoru. Dzięki Bogu! Przecież będą musieli spędzić razem co najmniej trzydzieści pięć minut, już zaraz, w jego samochodzie.

Uśmiechając się, wziął ją pod ramię.

– To teraz przejdziemy sobie przez jezdnię, panno Pruitt. Moje auto stoi tam – pokazał głową.

– Świetnie, panie Carver. – Poprawiła kapelusz. –Idźmy zatem i jedźmy. Czemu nie... Kto nie ryzykuje, ten nie żyje.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Droga Marcy!

Jestem Twoją wielką fanką. (Spróbowałam Twego przepisu na ciasto czekoladowe z numeru lutowego i było pyszne!). W wywiadach mówisz, że jesteś nieśmiała, ale na fotografiach wydajesz się taka pewna siebie i rozluźniona. Na czym polega ten sekret?

Linda z Kansas City

Ulokowana na skórzanym fotelu czarnego sedana Marcy od razu poczuła się zrelaksowana. Spojrzała w lusterko wsteczne, wyświetlające w rogu na przemian czas i temperaturę. Wewnątrz wozu było dokładnie dwadzieścia stopni, a na zewnątrz – chyba z trzydzieści pięć.

Przyjemny wóz, pomyślała.

Samochód ten nie pasował, jej zdaniem, do Evana Carvera.

Evan wyglądał na farmera – z tymi dużymi, szorstkimi dłońmi, potężnymi ramionami i mocno opalonym karkiem. Miał wytarte dzinsy i spłowieła koszulkę. W czarnym, lśniącym sedanie był jakby nie u siebie. Marcy oczami duszy ujrzała go raczej w jakimś dziupie lub pikapie.

– O czym tak rozmyślasz? – zagadnął ją Evan.

– Podziwiam twój samochód. – Marcy przesunęła dłonią po mahoniowej desce rozdzielczej. – Piękna maszyna. Ja mam w Los Angeles dużo skromniejszy.

– Nie jest mój. – Evan wzruszył ramionami. – Należy do hotelu. Clair uznała, że będzie ci w nim wygodniej niż w mojej półciężarówce. Bo ja jeżdżę takimi wozami... Ciekawe czy kobiety z Kalifornii – Evan spojrzał na Marcy – miewają coś przeciw półciężarówkom?

– Daj spokój... Zresztą, tak naprawdę nie jestem z Kalifornii. Urodziłam się w Ohio. W małym miasteczku Burbridge. – Spostrzegła, że drgają mu kąciki ust. – Ty znowu chciałeś zażartować, prawda?

Uśmiechnął się.

– Nie mogłem się powstrzymać, przepraszam... Popatrz, ale ta maszyna sunie. Mamy sto osiemdziesiąt na liczniku, a silnik mruży cicho jak kotek.

Sto osiemdziesiąt na godzinę? Marcy przełknęła. Swoją małą camry nie wyciągała nawet setki... Teraz zauważyła, że wyprzedzają akurat jakiegoś tira, a potem kombajn. Sięgnęła do pasa bezpieczeństwa i zaczęła go zapinać. Lecz Evan zaraz zwolnił, zjeżdżając na prawą stronę szosy.

– Może włączyć muzykę? – zaproponował.

– Co tylko zechcesz. Uwielbiam muzykę. Nastawił Rolling Stonesów. Marcy, słuchając Micka

Jaggera, zaczęła się przyglądać mijanym krajobrazom.

Co za przestrzenie, pomyślała. Ogromne pastwiska, stada bydła i koni, wielkie, białe domy farmerskie, czerwone stodoły. O, a tutaj ktoś jedzie zielonym traktorem. I pomachał do niej ręką!

– Przyjemnie trochę powagarować, co?

Spłoszyła się, słysząc te słowa. Zdała sobie nagle sprawę, że Evan cały czas ją obserwuje. Popatruje na nią tymi swoim czarnymi oczami, które są nie tylko inteligentne, ale i... przenikliwe. Poczowała dreszczyk na plecach.

– Powagarować? Co chciałeś przez to powiedzieć?

– O, nic specjalnego. Myślę tylko, że przyjemnie ci było wyrwać się na jakiś czas z roboty, zniknąć z redakcji, może i z ekranu, z tych różnych bardzo ważnych party i tak dalej.

– No, tak. Chociaż nie jestem pewna, czy całkiem udało mi się zniknąć. – Obejrzała się i przez chwilę obserwowała autostradę, lśniąca w upale jak lusterko. – Nie zdziwiłabym się, gdybym zobaczyła nagle Helen, pędzącą za nami.

– Helen?

– To moja szefowa. Nie była zadowolona, że znikam na trzy tygodnie.

– Jak to „znikasz”?

– Bo na wszelki wypadek nie powiedziałam jej, dokąd jadę. No i ona zadzwoniła do mnie do pociągu z awanturą.

– Mała awanturka nie zawadzi od czasu do czasu – zauważył Evan sentencjonalnie, po czym zabębnił palcami po kierownicy.

Marcy zmrużyła oczy. Wyobraziła sobie nagle tego rosnącego mężczyznę, jak wdaje się w jakąś „małą awanturkę” – powiedzmy, że z chętną kobietą. Na przykład z nią... Wciąż jeszcze palił ją tamten jego pocałunek z peronu.

Oparła skroń o szybę. Dotarło do niej, od jak dawna z nikim się nie całowała. Cztery lata nieustannej dyspozycyjności w pracy prawie zupełnie pozbawiły ją prywatnego życia.

Trzeba to koniecznie zmienić, pomyślała. Zerknęła na Evana. Przystojny mężczyzna. Ciekawe, czym on się zajmuje?

– Claire mówiła mi – przerwała i poprawiła się w fotelu – że... że jesteś przedsiębiorcą budowlanym. To prawda? Co budujesz?

– Naprawdę chciałabyś to wiedzieć? – Poruszył brwiami. – Dobrze, powiem ci. Specjalizuję się w niewielkich koloniach mieszkalnych. Takich od pięciu do siedmiu domów.

– Czemu właśnie od pięciu do siedmiu?

Uśmiechnął się.

– To kwestia temperamentu... Budowa takiej kolonii trwa parę miesięcy i tyle właśnie jestem w stanie wytrzymać w jednym miejscu. Lubię odmianę... Podróżuję po całym Teksasie.

– Podróżujesz? A gdzie mieszkasz na stałe?

– Nigdzie, wyobraź sobie. Moje przedsiębiorstwo składa się z paru wozów technicznych i trajlera. Mieszkam w trajlerze... No a ty? – Spojrzał na Marcy. – Jak wygląda twój dom?

– Oczywiście nie ma kółek. Ma za to dookoła płotek ze sztachetek. Wiesz, dzieci rysują czasem takie domki. Udało mi się go niedrogo kupić, ale nie jest jeszcze wykończony.

– Opisziesz w swoim magazynie, jak sobie z nim radzisz? Może na kolumnie „Porady Marcy”?

Spojrzała na niego z zaskoczeniem. W jej piśmie rzeczywiście istniała rubryka „Porady Marcy” i cieszyła się sporym powodzeniem.

– Czyżbyś miał w ręku nasz miesięcznik?

– W biurze Clair przejrzałem jeden z jego numerów. Ten z tobą na okładce. Siedzisz tam na lawendowej łące...

– A, ten. – Niezbyt lubiła się pojawiać na okładkach, ale wydawca upierał się czasem co do tego i nie było wyjścia.

Tymczasem Evan zaczął zjeżdżać z autostrady.

– Jesteśmy już prawie w Wolf River, panno Pruitt. – Uśmiechnął się. – To tam. – Wskazał głową.

Ruszyli dwupasmową aleją, która szybko przekształciła się w Main Street. Pojawiły się pierwsze zabudowania, tak typowe dla prowincjonalnej Ameryki.

Wszystko to jest takie małe, w porównaniu z gmachami Los Angeles, pomyślała Marcy... Ale zasobne, i owszem, zbudowane z porządnej cegły,

okolone płotkami i strzyżonymi trawnikami. Nie brakowało tu sklepów, restauracji, fast foodów.

W pewnej chwili za rogiem Marcy ujrzała autentyczny multiplex.

Najnowszą zaś i największą budowlą Wolf River, o czym wiedziała Marcy, miał być hotel Four Winds. Stał na samym końcu miasteczka, miał jedenaście pięter i wydawał się lokalnym drapaczem chmur. Jechali właśnie w jego stronę.

Skręcili z ulicy na podjazd hotelu, gdzie u wejścia czekał portier w liberii, z napisem „Four Winds” na otoku czapki.

– ...choć może zrobimy inaczej? – zastanawiał się głośno Evan.

Dodał gazu i pojechał wzdłuż kutego ogrodzenia aż do bramy, którą uruchomił pilotem. Po chwili znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu, ozdobionym fontanną z trzema końmi z brązu, naturalnej wielkości.

– Ładne. – Marcy przekrzywiła głowę. – Zapewne to teksańskie mustangi?

– W środku będzie jeszcze ładniej – zapewnił ją Evan.

Skierował sedana ku podziemnym garażom i tam, na dole, zaparkowali.

– No a teraz pojedziemy sobie wewnętrzną windą prosto do Clair. Chcesz? – Evan uśmiechnął się, wysiadł, obszedł dookoła samochód i ze staromodną galanterią otworzył Marcy drzwi.

– Dziękuję. – Zgrabnie wysunęła się z auta. Zabrali z samochodu jej walizkę i ruszyli do windy.

– Jakie to dziwne – zastanowiła się Marcy. – Jeszcze parę miesięcy temu Clair mieszkała w Charleston i chciała wyjść za Olivera... Na pewno znasz tę historyjkę?

– Oczywiście. Wszyscy ją tutaj znamy.

Weszli do windy. Jej drzwi zamknęły się bezszelestnie, a z ukrytych głośników popłynęła słodka, instrumentalna wersja bitelsowskiej „Love Me Do”.

– Oliver nie bardzo mnie lubił jako przyjaciółkę Clair – powiedziała Marcy.

Evan nacisnął klawisz z liczbą 10.

– Nie bardzo cię lubił? Dlaczego?

– Nie pasowałam, jego zdaniem, do Clair. Ona była z lepszej rodziny, a ja – cóż... Ja dorabiałam do chesnego, wynajmując się do sprzątnia mieszkań... Nigdy nie grałam w domu na fortepianie. Nie brałam lekcji dobrych manier.

– To dopiero bałwan – zamruczał Evan. Marcy uśmiechnęła się.

– Clair zrobiła mu raz straszną awanturę. Nigdy nie widziałam jej tak wściekłej. Powiedziała, że jeśli natychmiast nie zacznie być dla mnie miły, to ona z nim zerwie! I chłopak rzeczywiście zaczął się starać. Męczył się okropnie, ale był grzeczny.

– Zdaje się, że oboje się cieszymy, że nie wyszła za niego. – Evan skinął głową.

Drzwi windy otwarły się na najwyższym piętrze. Był tutaj mały hol z kryształowym żyrandolem i posadzką z czarnego marmuru. Pod jedną ze ścian stała kryta zamszem sofa barwy żurawinowej i dwa fotele do kompletu, a pod drugą ścianą piękny stary kredens, a na nim serwis do kawy lub herbaty oraz jakieś świeże wypieki w koszyku.

Do przygotowanego dla Marcy apartamentu wchodziło się z narożnika. Kiedy otwarli drzwi, zapachniało kwiatami. Na małym stoliku stał wielki bukiet białych róż.

– Jakie piękne! – Marcy ruszyła w ich stronę i pochyliła się, wachając kwiaty.

Spodobała się Evanowi w tym spontanicznym geście. Przypomnił mu się też zapach jej policzka, w chwili, gdy ją całował. Jej skóra, a może włosy, na pewno pachniała jakimiś kwiatami. Chyba jednak nie różami.

– Idziemy do sypialni? – zapytał.

– Słucham?! – wyprostowała się zaskoczona.

– Pytam, czy zanieść twoją walizkę do sypialni.

– Ach, to... Nie, dziękuję. Postaw ją gdzieś tutaj... I w ogóle dziękuję ci za to, że się mną tak opiekujesz.

Evan chciał coś odpowiedzieć, ale Marcy minęła go nagle, zmierzając w głąb pomieszczenia.

– Czuję hamburgery – odwróciła głowę.

– Co takiego? Hamburgery?

– Kobiety mają dobry węch. – Uśmiechnęła się i już zdejmowała srebrzystą pokrywkę z naczynia, stojącego na małym wózku barowym.

Evan podszedł bliżej.

– Zgadza się, hamburgery. – Pociągnął nosem.

W naczyniu były nie tylko kotlety, ale też frytki, a obok – kilka dzbanuszków z wszystkimi niezbędnymi przyprawami, od keczupu po chili.

– Rozumiem, że mam u Clair specjalne względy! – Zaśmiała się Marcy.

– Ale tu jest coś jeszcze – zainteresował się Evan. – Co to takiego? Można? – Ujął w dwa palce porcelanowe nakrycie małej patery. – O, ciasto czekoladowe. Z kremem!

Marcy klasnęła w dłoń.

– Kochana Clair! Naprawdę pamiętała o mnie... Bo wiesz, w college'u chętnie podjadałam właśnie takie niezdrowe rzeczy. Clair trzymała dietę, a ja się obżerałam.

– Mój typ kobiety! – Evan żartobliwie wymierzył palec w Marcy. – Może od razu się pobierzemy?

– Chwilowo jestem zajęta czym innym. – Uśmiechając się, Marcy zanurzyła palec w kremie. – Ale potem wróc jeszcze do tej propozycji, dobrze? – Przymknęła oczy i, mrużąc z rozkoszy, zaczęła oblizywać palec. Oblizywała go dosyć długo.

Evan poczuł silne pulsowanie krwi. Przełknął raz i drugi ślinę.

Marcy sięgnęła po frytkę.

– Słuchaj, a może i ty byś coś zjadł? Zapraszam cię. Zwlekał chwilę, czekając, aż nieco ochłonie.

– Z przyjemnością. – Skinął głową. – Właściwie zaczynałem się już bać, że mnie stąd odprawisz z niczym.

Marcy odsunęła swój talerzyk. Obserwowała, jak Evan radzi sobie z kolejnym hamburgerem. A radził sobie na różne sposoby.

– Jedz, jedz – zachęcała. – Clair na pewno obraziłaby się, gdybyśmy nie opróżnili półmiska.

Nie dał się prosić i czwarty już mały kotlecik zaczął znikać w ustach tego dużego mężczyzny.

– Słuchaj... – zastanowiła się. – A właściwie skąd ty i Jacob wzięliście się w Teksasie? Bo Clair opowiadała mi, że obaj pochodzicie z New Jersey?

Szybko przełknął kęs.

– To z powodu UT.

– Uniwersytetu Teksykańskiego?

– Zgadza się. Sześć lat studiów... Ale właściwie całkiem niepotrzebnie.

– Dlaczego niepotrzebnie?

– No bo w końcu, jak wiesz, pracuję rękami. Buduję domy. Uniwersytecki dyplom do niczego mi się nie przydał.

Marcy przyjrzała się jego dłoniom. Były duże i trochę zniszczone, ale kształtne, z długimi palcami. Zaczęła sobie wyobrażać, co też on jeszcze potrafił zrobić takimi dłońmi, powiedzmy, że w godzinach wolnych od pracy... I ni stąd ni zowąd przebiegł jej po plecach dreszczyk.

Posunęła w jego stronę majonez, potem keczup i wreszcie musztardę, stawiając z nich jakby zaporę dalszym swoim domysłem.

– Jeszcze jednego hamburgera? – zapytała.

– Nie, już dziękuję! – Evan zaśmiał się. – Najadłem się po uszy.

– To może kawałek ciasta?

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

– Jest tam kto? – usłyszeli przytłumiony głos kobiety. Marcy zerwała się z krzesła.

– To Clair! Nareszcie!

Po chwili obie przyjaciółki padły sobie w ramiona.

– No i jak było na dworcu? – Clair spojrzała na Evana. – Nie mieliście kłopotu z rozpoznaniem się?

Wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie nie. Przecież masz przed sobą swoją Marcy... Czy może ja się mylę? Przywiozłem ci twoją druhnę?

– No tak, niby facja – Clair poprawiła sobie włosy. – W takim razie zastanówmy się, co będziemy robić dalej... Słuchaj Marcy, wieczorem urządzimy sobie na pewno dłuższe posiedzenie, a teraz...

– A czy ja – wtrącił się Evan – też będę się mógł do was jakoś przyłączyć?

– O nie, mowy nie ma! – Clair pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek. – To będzie babski wieczorek. Ale dzięki za wszystko, co dotąd dla nas zrobiłeś.

– Szkoda – mruknął. – W każdym razie – uśmiechnął się – zawsze jestem do wzięcia. Do wzięcia na przewoźnika, do wzięcia na męża, na co kto chce.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Clair.

Marcy spuściła tylko oczy i zarumieniła się. Wolą się nie odzywać.

Kiedy Evan wyszedł, Clair i Marcy zasiadły na kanapie.

– O czym on mówił, skarbie? – Clair ujęła Marcy za rękę. – Ty coś chyba wiesz...

– A, to był taki żart... Na dworcu nagabywały mnie dwie panie; pytały czy nie jestem przypadkiem Marcy Pruitt, a on wtedy powiedział, że absolutnie nie, że ręczy za to, bo jest moim mężem i chyba najlepiej o tym wie. I wtedy one doszły do wniosku, że się pomyliły i dały mi spokój.

– Całkiem sprytne.

– No właśnie. Ale to już wszystko... Clair, powiedz mi lepiej, co u ciebie? Pięknie wyglądasz, miłość wyraźnie ci służy.

– Tak? No, nie ma powodu, żebym się wypierała... A tak niewiele już brakowało, sama powiedz, żebym zrobiła największy błąd w moim życiu. – Clair zsunęła z nóg pantofle i usiadła na kanapie po turecku. – Gdyby Jacob mnie wtedy nie znalazł, byłabym dziś prawdopodobnie panią Hollingsworth, żoną Olivera.

– No tak, pamiętam tę opowieść – Marcy pokiwała głową. Po czym wstała, sięgnęła po talerzyk i ułożyła sobie na nim jeszcze jednego hamburgera. – Są takie pyszne! Dziękuję ci bardzo. – Uśmiechnęła się do Clair.

– Cieszę się, że... Ale co ty robisz?!

Clair zdumiało to, że Marcy smaruje sobie hamburgera majonezem i okłada go frytkami.

– A, to jest taki patent Evana. Podpatrzyłam to u niego.

– Z tym Evanem lepiej uważaj – doradziła jej Clair. – Czasem mi się wydaje, że on ma za dużo różnych pomysłów czy też patentów.

– Bez obaw. – Marcy wróciła na kanapę. – Mężczyźni na mnie niespecjalnie lecą...

Clair uniosła brwi.

– Nie lecą? Bo co, myślisz, że odstraszasz ich tymi swoimi okularami i grzeczną fryzurką?

– Czy ja wiem? – Marcy odstawiła talerzyk. – W każdym razie nie wyrzeknę się przecież swoich okularów ani fryzury, bo stały się one moim znakiem firmowym. A ja przede wszystkim chcę być dobrą, rozpoznawalną firmą, Clair...

ROZDZIAŁ TRZECI

Droga Marcy!

Mój narzeczony i ja chcemy się w lecie pobrać. Marzy nam się ślub na wolnym powietrzu, ale nie wiemy, co będzie z pogodą. Czy miałabyś dla nas jakąś wiarygodną prognozę?

Tiffany i Chris z Woodland Hills

Wieczorem Clair i Marcy wróciły do swej rozmowy. Marcy zaczęła wypytywać przyjaciółkę o różne szczegóły z jej życia. I dowiedziała się o faktach układających się w rodzaj scenariusza filmowego.

W pewnym małym miasteczku zdarzyła się kraksa. Zginęli ojciec i matka, ale przeżyło troje ich dzieci: dwóch chłopców, siedmio- i dziewięcioletek, oraz trzyletnia dziewczynka. Chciwy, zły wuj, mający chrapkę na spadek, szybko pozbył się dzieci, doprowadzając do ich nielegalnej adopcji, każdego z osobna, w odległych rejonach kraju a nawet za granicą. Dzieci rosły, nic o sobie nawzajem nie wiedząc.

Ale dwadzieścia trzy lata później sprawa wyszła na jaw. Jeden z kuzynów wynajął prywatnego detektywa, którego zadaniem było odnalezienie całej trójki. Detektywem tym był Jacob, obecny narzeczony Clair. Ją samą – siostrzyczkę obu braci – wyeksportowano niegdyś nielegalnie do Francji i tam adoptowano.

– I tyś się o tym wszystkim dowiedziała na dwa dni przed planowanym ślubem z Oliverem? – upewniała się Marcy.

– Zgadza się. – Clair poprawiła się na kanapie, na której znów zasiadła po turecku. – Jacob zaczepił mnie, gdy wychodziłam z salonu mody, gdzie robiłam ostatnie przymiarki sukni ślubnej. I powiedział, że urodziłam się w

hrabstwie Wolf River, w Teksasie, a moje prawdziwe nazwisko to Elizabeth Marie Blackhawk. No i że mam dwóch starszych braci, Randa i Seta.

Marcy sięgnęła po filiżankę herbaty miętowej, stojącą na wózekku barowym teraz przysuniętym do kanapy. A Clair mówiła dalej:

– Wszystko to wydało mi się w pierwszej chwili absurdalne. Byłam pewna, że ktoś oszalał, że zaszła tu jakaś wielka pomyłka. Dlaczego moi rodzice mieliby mnie przez tyle lat oszukiwać? – Clair także sięgnęła po filiżankę i nalała sobie herbaty ze szklanego naczynia. – Ale Jacob miał dowody. Pokazał mi kopię artykułu z gazety o wypadku, fotografie. Również mój akt urodzenia. A nawet odbitkę świadectwa adopcji, podpisanego przez moich rodziców. – Clair wpatrzyła się w obłoczek pary, unoszący się nad herbatą. – No tak. Przestałam wątpić... Nagle uzmysłowiłam sobie, że zawsze mi czegoś ważnego brakowało w życiu, choć miałam bezpieczny dom, kochających rodziców, pieniądze, chodziłam do dobrych szkół... W dziwny sposób nie pasowałam jednak do tego domu i do tej rodziny.

W tym momencie Marcy pomyślała, że i ona trochę podobnie przeżywała swoją młodość. Jej rodzice także wcześniej odeszli. Zaopiekowała się nią ciotka Hattie, przy której, będąc dzieckiem, czuła się zawsze jak piąte koło u wozu. Ciotka, ekscentryczna wdowa, która nie miała własnych dzieci, nie bardzo wiedziała, co począć ze swą ośmioletnią siostrzenicą. Mała Marcy boleśnie przeżywała sieroctwo; nie zaznała ciepła w obcym domu.

W tej chwili jednak, pomyślała, tutaj, u boku przyjaciółki, jest jej naprawdę dobrze. Zawsze jest im ze sobą dobrze... Nieważne, jak długo się obie nie widzą, nie piszą do siebie ani nawet nie telefonują. Zawsze momentalnie odnajdują wspólny ton. I tym razem również go odnalazły.

– Swoją drogą, szkoda – powiedziała Marcy z uśmiechem – że nie mogłam cię zobaczyć w tamtej słynnej scenie, gdy zawracasz od ołtarza, zostawiasz Olivera i odjeżdżasz w siną dal z Jacobem.

– No właśnie, właśnie, żałuj! – Clair żartobliwie trąciła swoją filiżanką filiżankę przyjaciółki. – Ale rozumiem, że trudno ci było wtedy zawrócić z tournée po Europie... Bo byłaś wtedy zdaje się w Europie, prawda? Tak czy owak, u mnie wszystko dobrze się skończyło. Znalazłam swoją prawdziwą miłość, odkryłam prawdziwe miejsce w życiu. Spotkałam też braci... Kupiliśmy hotel... Życie jest piękne!

Marcy pocałowała Clair w policzek.

– Cieszę się razem z tobą, naprawdę się cieszę. Oby ci się dobrze wiodło, tobie i Jacobowi.

– Oby. Na wszelki wypadek odpukamy. – Clair zastukała w drewniany blat wózka na kółkach. – Ale słuchaj no, powiedz wreszcie, co tam u ciebie! Co w redakcji? Czy to prawda, że osobiście odpisujesz na te setki listów, które dostajesz?

Marcy zaśmiała się.

– Może na co setny... – Wypiła łyk herbaty. – W końcu od czego jest sekretariat i papier firmowy? Ale mówię ci to w absolutnej tajemnicy. Nikomu ani mru–mru, pamiętaj!

Ciepły poranek zachęcał do pływania. O szóstej trzydzieści słońce stało już wysoko, jak to w lecie, niemniej większość gości hotelowych jeszcze spała.

Evan trzema ruchami ściągnął koszulkę i wskoczył do basenu. Dwanaście lat temu był w drużynie pływackiej swej uczelni. Dwanaście lat... Nagłe pomyślał, że było to całe wieki temu.

Skończył jedno okrążenie i zaczął drugie. Lubił, jak mu krew żywo pulsuje w żyłach. Zmieniał style: płynął kraulem i motylkiem, na brzuchu i na plecach.

Wczesne wstawanie nie było dla niego rzeczą niezwykłą; kto pracuje na budowie, musi zaczynać pracę o świcie, w każdym razie w Teksasie – na przykład dlatego, żeby móc sobie urządzić sjęstę w czasie największego upału, w południe.

Evan uwielbiał swoją robotę, wszystkie jej etapy, od projektu budynku, przez grzebanie się w wykopach, konstruowanie szkieletu, po prace wykończeniowe. Zostawiał po sobie zawsze w krajobrazie rzecz trwałą, zdolną opierać się czasowi, dom. To mu sprawiało największą satysfakcję.

Ostatni budynek postawił tydzień temu. Zdążył już odpocząć, lecz kiedy był wypoczęty, natychmiast zaczynał potrzebować kobiety. Wczoraj po południu zdążył poznać na basenie dwie ładne blondynki, Mandy i Suzanne, które zaprosiły go na dziś wieczór do siebie.

Rzecz jasna przyjąłby zaproszenie, gdyby nie to uroczyste party przedślubne, na które ciągnęła go teraz przyszła szwagierka Clair. W niczym takim nie brał dotąd udziału, zaczął się nawet trochę wykręcać, ale ona stwierdziła, że chodzi tu o normalne przyjęcie, że będzie jego brat Jacob, co oczywiste, i że nie może przecież uchybić bratu.

Cholera, zaklął cicho w myślach Evan, zaczynając kolejne okrążenie basenu.

Szkoda mu było tej znajomości z Mandy i Suzanne.

Nagle przed oczyma wyobraźni pojawiła się Marcy Pruitt... Obrócił się na wznak i zwolnił tempo. Zabawna jest ta dziewczyna. W tym ogromnym kapeluszu... Przypomniało mu się, jak ją wczoraj pocałował. Ładnie

pachniała.., A potem ten wspólny lunch i zabawa „w hamburgery”... Kto wie, jaką zabawą skończyłby się ten lunch, gdyby nie pukanie Clair.

Ale to dobrze, że przyszła, pomyślał teraz Evan.

Energicznie obrócił się na brzuch i zaczął płynąć motylkiem, mocno wyrzucając naprzód ramiona.

Zawsze zdwojonym wysiłkiem pokonywał apetyt na kobiety, gdy nachodził go w nie całkiem odpowiednim momencie.

Które to już okrążenie, zastanowił się. Chyba piąte...? No to dodajmy jeszcze z pięć. Albo dziesięć. Dla zdyscyplinowania ciała oraz duszy.

Dla Marcy poranek zaczął się od zwiedzania hotelu Four Winds, po którym oprowadziła ją Clair. W foyer ciekawą ozdobą były kandelabry z kutego żelaza, łączonego z rogami łosi. Ściany były tutaj z niewypalanej cegły. Belkowanie powały przywodziło na myśl zabytkową karczmę lub może jakiś stary dwór. Krótko mówiąc – projektant hotelu nie bał się mieszania stylów.

Clair i Marcy zajrzały też do salki treningowej, potem do sauny, następnie do luksusowego butik, do miejscowego salonu piękności i wreszcie do kuchni obsługującej dwie restauracje, a lśniące przy tym od czystości.

– No, może na razie dosyć? – Clair uśmiechnęła się. – Pewnie jesteś zmęczona... A w ogóle wyspałaś się? Wczoraj gadałyśmy przecież prawie do północy.

Marcy westchnęła.

– No właśnie, właśnie... I potem cały czas śniły mi się te twoje opowieści. Tyle w nich było gwałtownych, dramatycznych wydarzeń... Pewnie dlatego obudziłam się dzisiaj już o piątej.

Clair spojrzała na zegarek.

– A teraz jest, chwileczkę, szósta trzydzieści... Ja też krótko spałam, wiesz? Ale u siebie podejrzewam raczej coś w rodzaju rajzefiber, przed podróżą w nowe życie. W końcu ślub jest czymś takim, prawda?

Marcy chętnie się zgodziła. Potem zaczęła się rozglądać.

– Cały ten hotel jest super – powiedziała. – Bardzo mi się tutaj wszystko podoba.

– Zbudował go kuzyn Lucas jako centrum turystyczne i konferencyjne. – Clair wzięła Marcy pod rękę i zaczęła ją prowadzić do holu windowego. – Kiedy kupiłam od niego hotel, wprowadziłam tu pewne przeróbki. Pomagała mi w tym Olivia Cameron, zawodowa projektantka wnętrz. Olivia ma w miasteczku piękny sklep z antykami.

– Z antykami? – zainteresowała się Marcy. – To chętnie bym ją poznała. Mój magazyn planuje cały specjalny numer poświęcony sklepom ze starociami w małych miasteczkach.

– No i dobrze. Tak się składa, że Olivię możesz poznać jeszcze dziś wieczorem... – Clair nacisnęła guzik windy. – Zaprosiłam ją na nasze party, wiesz?... A teraz pojedziemy już chyba do mnie. Chciałabym ci pokazać swoje biuro... Potem zjemy śniadanie, tak?

Winda zjechała na dół. Jej metalowe drzwi rozsunęły się, ujawniając w środku wysokiego mężczyznę w granatowym garniturze. Mężczyzna uśmiechnął się, wychodząc.

– Dzień dobry, panno Beauchamp. – Przeniósł spojrzenie na Marcy. – Dzień dobry, panno Pruitt. Witamy w naszym Four Winds.

– To Sam Prescott, mój dyrektor generalny – przedstawiła go Clair. – Uprzedziłam Sama o twoim przyjeździe.

Marcy wyciągnęła rękę.

– Miło mi, panie Prescott.

– Dla pani Sam – zaproponował. –I cała przyjemność po mojej stronie.

Gdy zaczął się oddalać, Marcy nachyliła się do ucha Clair.

– Jeszcze jeden przystojniak... Macie tu, w Wolf River, samych takich?

Clair zaśmiała się, naciskając guzik drugiego piętra.

– Poczekaj, aż zobaczysz mojego kuzyna i braci. To dopiero są faceci!

Nic nie wspomniała o Evanie, pomyślała Marcy.

Nie mogła o nim nie pomyśleć – jako że również przez niego niezbyt dobrze spała tej nocy. Wciąż snuły jej się po głowie różne damsko–męskie fantazje, oczywiście z udziałem Evana. Widziała siebie w jego ramionach, czuła jego zapach, słyszała czułe słowa. Widać zrobił na niej wczoraj większe wrażenie, niż mogła przypuszczać.

Winda zatrzymała się. Wsiadły i po paru krokach weszły do biura Clair.

– Co za klasa! – Marcy rozejrzała się. – Szkło, nikiel, mahoń...

– Ciągle to jeszcze zarządzam – powiedziała skromnie Clair. — Ale już czuję się tutaj u siebie... Poczekaj sekundkę, tylko odsłucham automatyczną sekretarkę. I zaraz pójdziemy na śniadanie.

Marcy podeszła do okna, zajmującego całą ścianę i sięgającego od sufitu do podłogi. Zobaczyła za nim, na dole, basen. Ktoś kąpał się właśnie, płynąc na plecach. Zdała sobie sprawę, że to mężczyzna.

Wtem serce zabiło jej żywiej.

Poznała Evana.

On obrócił się na brzuch i zaczął sunąć kraulem, energicznie bijąc wodę nogami.

Pięknie to robi, pomyślała Marcy. Przywarła nosem do szyby.

Evan dokończył okrążenie, potem uniósł ramię, spojrzął na zegarek i wyskoczył z wody. Zaśniła jego mokra, opalona skóra. Zrobił kilka skłonów i przysiadów. Sięgnął po ręcznik.

Marcy patrzyła jak zahipnotyzowana. Skupiła wzrok na granatowych spodenkach Evana, ciasno opinających jego biodra.

Szkoda, że nie mam lornetki, przebiegło jej przez myśl.

– Jesteś gotowa? – Clair wstała, odsuwając od siebie telefon.

– Słucham? – Marcy wciąż nie odrywała się od okna.

– Mówię, że możemy już iść na śniadanie.

– Ach tak.

Marcy niechętnie ruszyła za przyjaciółką. Z zapamiętanym obrazem takiego Evana, sama sobie zadała pytanie, czy jest „gotowa”... Może i była gotowa. Tylko do czego? Właśnie, do czego?

Evan, już ubrany, postanowił zajrzeć do hotelowej restauracji. Zajrzał i zaskoczony dojrzał z daleka, na tarasie Clair i Marcy przy kawie. Stał i patrzył z wnętrza restauracji, jak obie nachylają się do siebie, żywo rozmawiają, podają sobie tosty, poprawiają włosy.

Kobiety zawsze go fascynowały. Były tak kompletnie inne... Takie nieprzewidywalne. Kapryśne. Zmienne. Evan nigdy nawet nie starał się ich zrozumieć. Wolał się tylko nimi cieszyć; to mu wystarczało. Tak pięknie się ruszały i pachniały. No i były tak fantastycznie zaokrąglone, tam, gdzie należy.

Skupił spojrzenie na Marcy, próbując przeświecić oczami jej zieloną koszulę z długim rękawem, wraz z dobranymi do tego spodniami.

– Ma czym oddychać – skonstatował z satysfakcją. –I tak dalej.

Marcy zaśmiała się właśnie, a jej głos zabrzmiał w uszach Evana prawie jak muzyka.

Zastanowił się, czy ładnie robi, podglądając obie przyjaciółki.

Uznał, że pora się ujawnić.

Wyszedł na taras.

– Witajcie, moje panie. – Skłonił się szarmancko.

Marcy zamarła. Uśmiech zaczął spelzać z jej ust.

Biedna dziewczyna, pomyślał szybko Evan. Odruchowo broni się przed intruzem. Tak to bywa z osobami publicznymi, na których prywatność wciąż ktoś nastaje. Za żadne skarby nie chciałbym się znaleźć w jej skórze.

– Evan! – ucieszyła się Clair. – Chodź tu do nas, przyłącz się.

– Ale może wolicie być same? Nie chciałbym się narzucać.

– Narzucać się? Nie żartuj! – Clair zaśmiała się. – Chodź, dostaniesz kawy.

Podszedł i zasiadł obok Marcy.

– Dzień dobry, panno Pruitt. – Nachylił się lekko ku Marcy.

– Dzień dobry, panie Carver – odpowiedziała.

– Panno, panie... ? – Clair uniosła brwi. – Co się z wami dzieje? Chyba żartujecie. Zdawało mi się, że wczoraj byliście po imieniu. Więcej, byliście nawet małżeństwem.

– Ale ona mnie rzuciła. – Evan westchnął, kierując wzrok w stronę koszyka z chlebem testowym i kawałkami jakiegoś placeka owocowego. – O, ten placek uśmierzyłby może mój ból.

– Częstuj się, proszę bardzo. – Clair przesunęła koszyk w stronę Evana.

Nie dał się dwa razy prosić.

– A kiedyż to wraca mój braciszek Jacob? – zapytał.

– Lada moment. – Clair spojrzała na swój zegarek. – Ale dziś rano rezerwuję go wyłącznie dla siebie. Stęskniłam się za nim, a poza tym wybieramy się razem do fotografa.

– Rozumiem. – Evan przełknął kęs ciasta. – Swoją drogą dziwię się wam, że tak zwlekacie z tym ślubem. Można by przecież wyskoczyć na przykład do Vegas. Słyszałem – dodał i wypił łyk kawy – że tam ludzie pobierają się, nie wysiadając nawet z samochodu... Wszystko jest jak w tych kinach dla kierowców.

Clair prychnęła.

– Też!... Co prawda... – zamilkła na chwilę i zamieszała kawę – ...w Wolf River rzeczywiście wszystko się ślimaczy. Bo kościół mamy jeden, a terminy w nim –przynajmniej miesięczne... W związku z tym miałam nawet pomysł – dodała i spojrzała na Marcy – żeby urządzić ceremonię w hotelu, w którejś sali balowej.

– Tylko Las Vegas! – upierał się Evan. – Mówię ci. Chapell Bell: specjalna kaplica dla zmotoryzowanych.

– Czekaj, czekaj. – Marcy nachyliła się w stronę Clair.

– Sala balowa, mówisz... A może to patio tutaj? Pomysł jest w każdym razie ciekawy. Tylko wiecie, o czym myślę? – Odchyliła się w krześle i spojrzała w niebo, jakby tam szukała dalszego ciągu natchnienia. – Trzeba by to miejsce odpowiednio udekorować. Ba! – Zapaliły jej się w oczach iskry. – Możemy tu zaaranżować coś w rodzaju kaplicy. Co wy na to? Evan jest budowniczym.

Evan znieruchomiał.

Clair zmarszczyła czoło w wyrazie wielkiego skupienia. Potem spojrzała na swego przyszłego szwagra.

– Dałbyś radę? – zapytała. – W jakieś... trzy tygodnie?

– Czy ja wiem. – Evan wzruszył ramionami. – Ale myślę, że raczej tak. Zwłaszcza z dobrą ekipą.

– Słuchajcie! – Marcy zerwała się z krzesła. – Rozumiem, że chodziłoby tu o rodzaj altany. Z elementami roślinnymi.

– Uhm, czemu nie – zgodził się Evan. – No, ale chyba też z jakimś cokołem? Powiedzmy: kamienny murek bez zaprawy.

– Świetnie! – ucieszyła się Marcy. – Przyda się podwyższenie... Może dalibyśmy także szklane, wahadłowe drzwi?

Clair klasnęła w ręce.

– Już mi się to wszystko podoba! – zawołała. Poderwała się i pocałowała Marcy w policzek.

– A ja? – nadstawił się Evan. – Mnie się nic nie należy?

Clair ucałowała też jego.

– To pięknie – powiedziała. – Wobec tego od czego zaczynamy? I kiedy?... Chociaż... – zastanowiła się nagle. – Nie wiem, czy wolno mi was tak wykorzystywać. W końcu jesteście moimi gośćmi.

Evan spojrzał na Marcy i uśmiechnął się. Ona odwzajemniła uśmiech.

– Nawet nie próbuj nas powstrzymywać – powiedzieli prawie chórem.

– Moi wy kochani... – W oczach Clair zabłyśły łzy.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła o tym powiedzieć Jacobowi.

– Powiedzieć o czym?

Marcy odwróciła głowę i ujrzała wysokiego mężczyznę stojącego w progu. Trudno się było pomylić! To musiał być brat Evana. Co za podobieństwo! Te same czarne włosy, zniewalający uśmiech, regularne rysy. Wyglądał na nieco zmęczonego podróżą; białą koszulę miał trochę nieświeżą, a na twarzy zarost. Ale to dodawało mu tylko uroku.

– Jacob! – Clair zerwała się z krzesła, ruszyła prawie biegiem i rzuciła się w ramiona narzeczonego.

Kiedy się całowali, Marcy skromnie spuściła wzrok. Evan splótł ręce na karku.

– To chwilę potrwa – powiedział. – Może przejrzelibyśmy w tym czasie jakaś prasę?

Jednak Clair oderwała się od Jacoba i zaczęła go ciągnąć na środek tarasu.

– Marcy! – zawołała. – Poznaj mego chłopca.

– Od razu się domyśliłam. – Marcy wstała, wyciągając rękę. – Mnóstwo o tobie słyszałam, Jacob.

– A ja o tobie. – Przybysz uścisnął podaną mu dłoń.

– Kochany, nie uwierzysz. – Clair objęła Jacoba w pasie. – Evan i Marcy zbudują dla nas kaplicę ślubną. O, gdzieś tutaj, w pobliżu.

Starszy Carver uniósł jedną brew i spojrzał na brata.

– Tu? Po prostu?... I na kiedy?

Evan wzruszył ramionami.

– Tak jak chciała Clar, w ciągu trzech tygodni. Dzień —dwa zajmie nam zrobienie szkiców i skompletowanie brygady. Stan surowy – z tygodni. Prace wykończeniowe – kolejne siedem dni. Trzy tygodnie to będzie chyba nawet za dużo.

Jacob rozejrzał się.

– No, właściwie, czemu nie, czemu nie... W razie czego sam stanę do roboty. – Uśmiechnął się. Potem znalazł sobie krzesło i zasiadł do stołu.

– Skarbie, nie rozsiadaj się. – Clair pociągnęła go za rękę. – Mamy przecież umówionego fotografa, chyba pamiętasz... W samolocie dali ci przecież śniadanie.

– Owszem. – Zaczął wstawać. – Coś mi tam dali.

– No to idziemy. A was na razie zostawiamy samych.

– Clair pomachała do Evana i Marcy. – Radźcie sobie! Kiedy Clair z Jacobem wyszli, Marcy westchnęła.

– Naprawdę poradzimy sobie? – Spojrzała na Evana.

– Nie ma obaw. Ale nie obejdzie się bez ścisłej współpracy, zwłaszcza twojej ze mną.

Serce Marcy zabiło gwałtownie.

– W porządku, czemu nie. Wszystko dla dobra sprawy.

– To świetnie. – Evan nachylił się ku niej. – I niewykluczone, że zajmie to nam również kilka nocy.

Serce Marcy kompletnie oszalało.

– Cóż, jak mus to mus.

On skupił spojrzenie na jej ustach, a ona wstrzymała oddech.

Następnie Evan spojrzał gdzieś ponad głową Marcy.

Zacząła odwracać głowę, lecz on przytrzymał palcami jej policzek.

– Nie oglądaj się – zniżył głos – bo akurat ktoś patrzy w naszą stronę.

– Kto taki?

– Zdejmij okulary – szepnął – bo jeszcze cię rozpozna. Szybko je ściągnęła.

– I co dalej?

– Co dalej? – Uśmiechnął się. – A to.

I pocałował ją, prosto w usta, zanim zdążyła zaprotestować.

Tylko czy miałyby dziś ochotę protestować, nawet gdyby jej wprost powiedział, o co mu chodzi?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Droga Marcy!

Zaprosiłam rodziców mego chłopaka na kolację.

Chciałabym, żeby stół wyglądał uroczyście, ale wolałabym nie wydawać mnóstwa pieniędzy na jakąś niezwykłą zastawę czy srebra. Poradź, co robić.

Melissa z Queens

Evan był pewnie zaskoczony zapalem, z jakim Marcy odwzajemniła jego pocałunek. No tak, ale nie wiedział, że nie po to fantazjowała o nim przez pół nocy, żeby teraz odgrywać niewiniątka?

Serce dalej w niej szalało, jednak wcale jej to nie obezwładniało. Wręcz przeciwnie.

Wszystko razem wydawało się cudownie układać. Niebywale. Wspaniale. Piękna chwila trwała i Marcy zupełnie zapomniała, że ktoś za jej plecami mógłby tę scenę obserwować.

Nagle odezwał się jakiś przelatujący ptak. a może gdzieś tam włączono kosiarkę do trawy? W każdym razie coś nagle im przeszkodziło. I to ich wyrwało ze słodkiego transu.

Pomału oderwali się od siebie. Marcy sięgnęła drżącą ręką po okulary.

– Czy ten ktoś... – szepnęła i pokazała za siebie głową. – Czy ten ktoś poszedł już sobie?

– Uhm. Poszedł. Jesteś teraz całkiem bezpieczna.

Bezpieczna... Ba, ale co znaczy bezpieczna? Czy przy takim mężczyźnie jak Evan można się czuć rzeczywiście bezpiecznie?

– To jak? – Evan uśmiechnął się. – Pójdziemy teraz do mojego pokoju czy do twojego?

Zamrugła powiekami. Do licha, zaraz do pokoju? No, ale sama przecież czegoś takiego chciała... Z drugiej jednak strony – niekoniecznie tak... natychmiast... I co mam mu teraz odpowiedzieć? Wzruszyła ramionami, spuszczaając oczy.

– U mnie będzie lepiej – spokojnie argumentował. – Mam u siebie przyrządy kreślarskie... Myślę, że powinniśmy się od razu zabrać do tych szkiców... Potem wprowadzimy je do komputera, zrobimy symulację przestrzenną... I tak dalej.

Z ulgą odetchnęła. Co za szczęście, że on mówi teraz o tej altanie dla Clair i Jacoba, a nie o czym innym. Jednak taktowny z niego chłopak.

Podniosła oczy.

– Jasne – powiedziała. – Jasne. No to rzeczywiście, chodźmy lepiej do ciebie.

Wstali oboje z krzeseł i zgodnie ruszyli do windy. Nim do niej weszli, Marcy ukradkiem obejrzała się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Ale rzeczywiście nikt jej nie śledził.

U Evana zabrali się zaraz do pracy. On nie robił żadnych niepotrzebnych aluzji; sięgnął do szafy po przybory kreślarskie i wyłożył je na duży stół we wnęce jadalnej. Zasiedli oboje, aby rysować, projektować, obliczać. Evan wszedł w naturalną dlań rolę konstruktora, pozostawiając Marcy funkcję architekta.

Ona pytała raz po raz: „Jak ci się podoba?”, to czy tamto; przesuwała w jego stronę kartki z kolejnymi pomysłami planu, przekroju albo elementów wnętrza altany.

Evan odpowiadał fachowymi radami, technicznymi konkretyzacjami jej wizji.

Kiedy doszli do problemu sufitu kapliczki, Marcy odchyliła się w krześle i zaczęła myśleć na głos.

– To nie może być zwykły sufit... Kaplica to jakby mała świątynia, a w świątyni sufit symbolizuje niebo. Powinien znajdować się wysoko.

– W patio czy na tarasie można sufit umieścić dowolnie wysoko – zauważył Evan. – Można też uwzględnić brak sufitu.

Przyjrzała mu się.

– Ty kpisz, a ja mówię poważnie... Ale czekaj! – Chwyliła kartkę i flamastry. – A gdybyśmy tutaj wstawili coś przezroczystego? Ze szkła czy pleksiglasu? Wtedy niebem altany będzie rzeczywiście samo niebo. – I Marcy zaczęła malować chmury, słońce, księżyc i gwiazdy, jako ewentualne ozdoby sklepienia kaplicy.

– No, nieźle, nieźle. – Evan kiwał głową.

– A wiesz? – Oczy Marcy zaśmiały się. – Możemy w to nawet wmontować jakieś elementy szkła barwionego czy witrażowego. O, to by było fantastyczne.

– Witraże...? – zastanowił się Evan. – Z tym mógłby być problem... Nikt nam czegoś takiego nie wykona w parę dni.

– A gotowe? Nie upolowałyby się gdzieś tutaj czegoś gotowego? Na jakimś pchlim targu? Moja ciotka Hattie zawsze mówiła: „Małe polowanko pobudza krążenie krwi”.

Uśmiechnął się. Jemu już teraz, a właściwie od rana żywo krążyła krew, przy niej, przy tej niezwykłej Marcy. Co za dziewczyna! Ile ma pomysłów. Urody też jej nie brakuje. Ani śmiałości.

Co do śmiałości, to właściwie nie był pewien, czy lubi ją u kobiet. W końcu inicjatywa, zwłaszcza w sprawach seksu, jest sprawą męską. Zaskoczyła go panna Pruitt... Odebrała mu pewność, że panuje nad sytuacją. Chciał ją pocałować może tylko po koleżeńsku, ot tak, tymczasem ona rozogniła jego zmysły. I teraz, zajmując się niby sprawami konstrukcji kapliczki, wciąż w myślach widzi ciąg dalszy z Marcy w sypialni... Ciekawe, o czym ona myśli.

– O, Evan, myślę, że to świetna idea.

Drgnął, kompletnie zaskoczony. Czyżby czuła dokładnie to, co on? Albo czytała w jego myślach?

Na wszelki wypadek zapytał:

– Co jest świetną ideą?

– Ten łuczek nad portalem, przy wejściu do kaplicy. Bardzo mi się podoba. – Wstała, okrążyła stół i obok Evana pochyliła się nad kartką papieru. – A po obu stronach wejścia ustawi się donice z pnącymi różyczkami – powiedziała. – Co ty na to?

Odłożył ołówek. Tak był pochłonięty myśleniem o kochaniu się z Marcy, że to, co nakreślił, było prawie bezwiedne. Ten łuczek.

Spojrzał na nią z boku.

Boże, jaka z niej apetyczna kobieta! Jak pięknie pachnie, jaki ładny ma profil, jak kołyszą się jej piersi.

Marcy wyprostowała się i nie odrywając wzroku od jego szkicu, zaczęła się bawić ołówkiem, wsuwając go między wargi i wysuwając.

A niech to.

Czy ona to robi świadomie? Jest to jakieś niedwuznaczne zaproszenie?

Kiedy zaczęła pogryzać gumkę na końcu ołówka, poczuł, że nie wytrzyma.

– Marcy – zamruczał.

– Uhm?

– Przestań.

– Ale o co chodzi?

– Przestań gryźć ten ołówek.

Ściągnęła brwi.

– Przeszkadza ci to?

– Owszem... Chodzi o to, że możesz sobie uszkodzić swoje piękne zęby.

– Zęby? Tym? – Zaczęła oglądać ołówek, nasunawszy na nos okulary, które trzymała dotąd na czubku głowy.

Evan skrzyżował ramiona i odchylił się w krzesło.

– Wiesz co? Ale właściwie to zrobmy sobie teraz przerwę.

– Przerwę?... Aha. No dobrze. – Odłożyła ołówek. – To co, ja mam pójść do siebie, a ty...

– Nie, zostań.

– Zostać? Tutaj? Ale po co?

– Marcy, siadaj. – Wysunął nogę i czubkiem buta przyciągnął dla niej krzesło.

Wahając się, zajęła miejsce, ale na brzeżku, nie dotykając oparcia. Jej plecy były tak sztywne, że Evan poczuł się jak u siebie na budowie, gdzie stale wyznaczało, się różne pionny. Robiło się to przy użyciu poziomnicy, teodolitu i innych tego rodzaju przyrządów.

Położył jej rękę na ramieniu.

– Opowiedz mi coś o sobie... Opowiedz na przykład o tej swojej ciotce.

Ostrożnie obróciła głowę.

– O ciotce Hattie?

– No właśnie, o niej.

Marcy sięgnęła po kartkę papieru i zaczęła ją składać, na pół i jeszcze raz na pół.

– Cóż, właściwie to ciotka mnie wychowywała. Była siostrą matki, starszą od niej o dwanaście lat. Zaopiekowała się mną, kiedy zginęli rodzice.

– Zginęli? O, do licha! To przykre. Współczuję ci.

Skinęła głową. Chwilę milczała.

– Cóż, przydarzyło się zwarcie instalacji elektrycznej w naszym domu. W nocy wybuchł pożar i rodzice zginęli, zaczadzeni. Mnie uratowano... Miałam wtedy osiem lat.

Evan poruszył brwiami. Wzrok skupiał na kartce, która pod palcami Marcy intensywnie szeleściła.

– Wszyscy uważali Hanriette Thatcher za ekscentryczkę – podjęła opowieść Marcy – ponieważ zajmowała się robieniem instalacji plastycznych z różnych rupieci, gratów, złomu i tym podobnego demobilu, znajdowanego gdzieś w rowach przydrożnych czy na wysypiskach. – Uśmiechnęła się. – I, o dziwo, wstawiała te swoje dzieła do galerii, gdzie znajdowały one nabywców.

Evan nie odrywał oczu od skrawka papieru, który tymczasem przekształcił się w rękach Marcy w małego, ładnego ptaszka.

– Lubię origami. – Marcy postawiła ptaszka na stole. – Ty też się czymś takim bawisz?

Pokręcił głową. Owszem, jest konstruktorem, ale przecież nie buduje domków z kart, nie robi ptaszków.

– Słuchaj, Marcy. – Ujął jej dzieło w dwa palce. – Myślę, że warto by pomówić o tym, co się stało dziś rano na tarasie.

Spuściła oczy.

– Może i warto... Czemu nie. Wobec tego ja... ja chciałabym cię od razu przeprosić.

– Ty przeprosić...? Mnie?

– Chyba tak. – Wciąż nie podnosiła oczu. – Bo ty przecież tylko próbowałeś mnie osłonić przed tymi intruzami. Tak jak wtedy, na peronie...
A ja...

– Marcy...

– Swoją drogą, świetnie całujesz. – Zerknęła na niego. – Ale o tym na pewno i beze mnie dobrze wiesz.

– Marcy...

– Nie chciałam cię postawić w niezręcznej sytuacji, ale jakoś tak mi wyszło. Chcę, żebyśmy byli dobrymi kolegami i żeby nam się dobrze współpracowało. Przysięgam, że coś takiego już się nigdy więcej....

– Marcy! – Jednym skokiem był przy niej i już przyciskał swoje usta do jej warg.

Nie zamknęła oczu. Patrzyła osłupiała. On oderwał się od niej i uśmiechnął.

– To było na przeprosiny. Ponieważ to ja cię przepraszam. Rano nikt ci nie zagrażał, nikogo na tarasie nie było... Pocałowałem cię wtedy, bo naszła mnie taka chęć, po prostu.

– Naszła chęć? – Marcy zrobiła jeszcze większe oczy.

– A czy to dziwne? Czasem ludzie postępują spontanicznie.

Poruszyła brwiami.

– Może i tak. Chociaż ja sama – niekoniecznie.

Evan potarł czoło. Właściwie i on nie był typem spontanicznym. .. To znaczy nie był, dopóki nie poznał Marcy.

– To nie znaczy, że czegoś takiego nie doceniam – podjęła. –I było mi nawet bardzo przyjemnie. Ale wolałabym, żebyśmy... żebyśmy tego więcej nie robili.

Spojrzał na nią. I nagle poczuł chęć podrażnienia się z Marcy.

– Tak? A dlaczego to?

– Po pierwsze: dlatego, że pracujemy ze sobą i takie rzeczy będą nas rozpraszały.

Racja. Oczywiście będą rozpraszały.

– Po drugie: ponieważ to do niczego nie może doprowadzić, a więc... – zamilkła i zarumieniła się – jest frustrujące.

Ona być może znowu ma rację, pomyślał. Ale miał chęć dalej ją prowokować.

– Do niczego nie doprowadzi, mówisz... A konkretnie co masz na myśli?

Jej rumieniec pogłębił się.

– Czemu mnie tak podpytujesz? Chyba sam wiesz. No tak, niewątpliwie wiedział.

– No a trzecia przeszkoda? Bo zwykle jest jakieś „po pierwsze”, „po drugie” i „po trzecie”, prawda?

– No dobrze... Więc, po trzecie, to ja cię zdążyłam polubić, Evanie, i właśnie dlatego nie powinniśmy...

Ona mnie lubi? Ej, to świetnie, to znaczy, że lubimy się nawzajem. Tylko dlaczego mieliby siebie unikać akurat ci, którzy się lubią?

Marcy poruszyła się.

– Wkrótce będziesz szwagrem mojej najlepszej przyjaciółki. To znaczy, że pewnie jeszcze nieraz się spotkamy. A gdybyśmy... gdybyśmy...

– Gdybyśmy poszli razem do łóżka, tak?

Spuściła oczy i skinęła głową.

– No właśnie. Potem mogłoby nam być niezręcznie.

Odchylił się w krzesło, splatając dłonie na karku. Oto jest kobieca logika. Logika, z którą chyba nie warto się spierać. Bo cóż by to dało?

Podniósł się i ruszył w stronę okna.

Zanim tam dotarł, usłyszał dzwonek telefonu.

Skreślił w stronę komody, na której stał aparat i podniósł słuchawkę. Wdzięczny był losowi, że ten właśnie tak zamierza spuentować ową coraz mniej obiecującą scenę między nim i Marcy.

– Czy mogę mówić z panną Pruitt? – odezwał się ktoś w słuchawce.

– Z panną Pruitt?

– Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Anna.

– Anna? Dobrze, ale jaka...?

Marcy szybko wstała i niemal wyrwała słuchawkę Evanowi.

– Anno, to ty? Co się dzieje? Czemu dzwonisz?

Evan obserwował, jak twarz Marcy szybko blednie.

Kimkolwiek była ta Anna i cokolwiek miała do powiedzenia, nie wydawało się, aby mogło to być coś dobrego.

– Jesteś pewna? – Marcy desperacko przeczesła sobie palcami włosy.

– Oczywiście, nikomu nic nie powiem. Zadzwoń do mnie jutro rano, ale na mój numer, nie na numer hotelu.

Odłożyła słuchawkę. Evan spojrzał na nią.

– Jakież problemy? – zapytał.

– Zabiję tę Helenę! – wycedziła, zaciskając pięści.

– Chodzi o szefową?

– Chyba eksszefową. – Marcy uśmiechnęła się mściwie. – Wprost nie do wiary, żeby coś takiego zrobiła!

Postąpił krok naprzód.

– Ale co konkretnie zrobiła?

Marcy zrezygnowanym gestem osunęła się na najbliższe krzesło.

– Wyobraź sobie, że wynajęła prywatnego detektywa, żeby mnie szukał po całej Ameryce.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Droga Marcy!

Powierzono mi urządzenie przedślubnego party przyjaciół. Czy miałabyś jakieś propozycje gier damsko-męskich na takie party?

Arlene z Indianapolis

Evan usiadł naprzeciw Marcy.

– A więc wynajęła prywatnego detektywa? Twoja szefowa? Żeby ciebie tropił?

Marcy wzruszyła ramionami.

– Anna mówi, że przypadkiem podsłuchiwała rozmowę Helen przez telefon. No i właśnie: Helen kazała mnie wyśledzić.

– Fiu, fiu – gwizdnął cicho Evan. – To już rzeczywiście lekka przesada.

– Dokładnie tak Helen ma na drugie i trzecie imię. Lekka Przesada. – Marcy zazgrzytała zębami.

Uśmiechnął się na moment.

– No, ale czekaj... Powiedziałaś o niej: „eksszefowa”. Czyli że po prostu rozwiązesz z nią umowę. I będzie po wszystkim.

Poruszyła brwiami.

– Właściwie to nie wiem... Bo to wszystko nie jest takie proste. Tak łatwo się od Helen nie odczepię.

– A co, jakieś prawne kruczki w umowie... ? Będą kłopoty?

Marcy wstała i niezdecydowanie zrobiła kilka kroków. Odwróciła się.

– Nie rozwiążę umowy, bo nie było żadnej umowy.

– Jak to nie było? Pracujesz w tym interesie „na gębę”?

Rozejrzała się bezradnie.

– Wiem, że to jest dziwne, ale ja... ja czasem ufam ludziom.

– Chodź no tutaj i siadaj. – Wyciągnął do niej rękę. – A więc mówisz, że ufasz ludziom.

Wróciła na swoje krzesło. I uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Bo widzisz... – zaczęła i spuściła oczy. – Helen bywa okropna, tak jak teraz, ale ja wiem, że tak naprawdę ona mnie nigdy nie skrzywdzi.

– Nie skrzywdzi? I ten numer z detektywem to nie żadna krzywda.

– Jednak nie. – Marcy skrzyżowała ramiona na piersi. – Jestem niby na nią wściekła, ale... ale właściwie nie czuję się skrzywdzona.

Evan pokręcił głową i westchnął.

– Bardzo dziwna logika. Być może typowo kobieca logika?

Marcy przyjrzała się swojej ręce, której on wciąż nie wypuszczał. Spróbowała ją cofnąć, ale bez skutku.

– Musisz wiedzieć – powiedziała i podniosła oczy – że ja tej mojej Helen dużo zawdzięczam... Po skończeniu college'u założyłam w Los Angeles firmę cateringową. Miałam nawet zamówienia mimo konkurencji, ale nie radziłam sobie z robotą papierkową. I w ciągu roku narobiłam takiego bałaganu w rachunkach, że zaczęłam się bać policji podatkowej... Wtedy właśnie poznałam Helen!

Marcy dobrze pamiętała, jaka się czuła wówczas zagubiona. Prawie już była gotowa zwinąć interes, gdy pewnego dnia, podczas obsługiwanego przez nią party, podeszła do niej właśnie Helen. I pochwaliła suflet czekoladowy za ciekawy smak oraz dodała, że w samej Marcy znajduje coś ciekawego... "Jakiś styl czy wygląd", coś, „co dałoby się wylansować".

– To Helen wpadła na pomysł, żebym rzuciła catering i zajęła się czymś całkiem innym. – Marcy zdjęła okulary i przejrzała się w ich szklach.

Potem włożyła je z powrotem. – Powiedziała mi, że intuicja rzadko ją zawodzi i że gotowa będzie zainwestować we mnie. Dała mi swoją wizytówkę i kazała wkrótce zadzwonić.

– I co było dalej? – Evan założył nogę na nogę.

– Z początku nic. Nie uwierzyłam jej... Ale ona sama odezwała się do mnie po paru dniach. Potem spotkałyśmy się i ona powiedziała, że ma dla mnie „gotowy plan”. Że w ciągu dwóch, trzech lat zrobi mnie „kimś powszechnie znanym”.

– No i zrobiła, jak rozumiem. Ale też chyba nieźle zarobiła na tobie! Prawda?

– Owszem. Jednak należało jej się to. – Marcy pomyślała, że nikt chyba nigdy nie pracował ciężiej i z większym poświęceniem niż wtedy Helen. – Najważniejsze było to, że ona we mnie cały czas wierzyła. Wierzyła nawet wtedy, gdy ja sama traciłam wiarę. Nigdy nie dawała za wygraną. Wszystko co mam, kim dzisiaj jestem, jej zawdzięczam.

Evan skinął głową.

– Wdzięczność to piękna cecha... Ale ja tu czegoś nie rozumiem. Dlaczego ty w ogóle wyjechałaś teraz z Los Angeles bez porozumienia się z nią? Czemu ona musi cię tropić, wynajmując detektywa?

Marcy ściągnęła czoło.

– Bo widzisz... Helen lubi mnie trzymać na bardzo krótkiej smyczy. I to mnie już bardzo męczyło, po tych paru latach stałej dyspozycyjności. Dlatego nie powiedziałam jej, dokąd jadę. Obiecałam tylko, że wrócę po trzech tygodniach.

– Ach, te kobiety... – Evan westchnął i ponownie wyciągnął rękę, ujmując dłoń Marcy. – Mężczyźni jednak załatwiają takie sprawy prościej.

Poczuła miły dreszczyk z powodu jego dotknięcia.

– Słuchaj Evanie... Chciałabym cię prosić, żebyś nic nie mówił Clair o tej aferze. Po co jej zawracać głowę jakimiś detektywami. Ona ma dość własnych kłopotów, zwłaszcza teraz przed ślubem.

– A mnie się zdaje – Evan lekko uścisnął jej dłoń – że właśnie należy zawiadomić Clair. Bo przecież ona dyryguje tym hotelem i między innymi jego ochroną. Dobrze, żeby ochrona miała oko na jakichś tam... detektywów.

– No dobrze. – Marcy wzruszyła ramionami. – Sama jej o tym wszystkim powiem, ale może nie zaraz... Za to teraz – dodała i cofnęła rękę – wracajmy już lepiej do pracy. Nie skończyliśmy jeszcze naszego projektu kaplicy.

– Ach, kaplica, kaplica. – Evan pokręcił głową. – Ja tam uważam, że najlepszym rozwiązaniem byłoby tak czy owak Las Vegas. Las Vegas byłoby najlepsze.

Lucas i Julianna Blackhawkowie żyli w szaroniebieskim domu farmerskim, z pięterkiem, kilka mil za miastem. Evan, skręcając na zwirowany podjazd, z zaciekawieniem przyglądał się budynkowi. Zauważył od frontu białe okiennice, ganek obrośnięty winoroślą i klomby różnokolorowych kwiatów. Po stronie zachodniej widać było rząd drzew rosnących nad wąską strugą. Od wschodu, za białym ogrodzeniem, pasły się konie. Ogrodzenie ciągnęło się bardzo daleko; ranczo Blackhawków liczyło sobie wiele setek akrów.

Na podjeździe stały już jakieś samochody. Evan zaparkował swego trucka obok czarnego SUV-a, po czym wyłączył silnik.

– No, jesteśmy na miejscu.

Marcy jeszcze przez chwilę trwała w zamyśleniu. Spoglądała przez boczne okno i bawiła się perłami swego naszyjnika. Miała na sobie ciemny

kostium, „niespecjalnie sexy”, jak uznał Evan. Założyła buty na płaskim obcasie, też niezbyt inspirujące wyobraźnię.

A jednak Evan także i teraz czuł się przy niej pobudzony. Coś było w tej kobiecie. Nie był pewien, co. Po prostu... coś. I może właśnie owo „coś” wyczuła także Helen, gdy kiedyś poznawała Marcy?

Z tej Helen pewnie jest niezła jędza, ale to bystra jędza, pomyślał Evan.

Wysiadł z samochodu. Obszedł go i otworzył drzwi po stronie pasażera, podając Marcy rękę.

– Prawdziwy dżentelmen – pochwaliła go.

– A ty dziś wyglądasz jak... dama – obrzucił ją spojrzeniem.

– No, mam nadzieję. – Uśmiechnęła się. – Ale i tobie nic nie brakuje.

– Dzięki. – Włożył palec za kołnierzyk białej koszuli i rozluźnił krawat.

W gruncie rzeczy złościł go ten jego strój wieczorowy, ale czegoż się nie robi dla brata w tak uroczystym momencie.

– Proszę. – Wykonał gest. – Idź przodem.

Poszedł za Marcy, przyglądając się kołysaniu jej bioder, gdy wstępowała na stopnie werandy. Z wnętrza domu dolatywała muzyka, gwar rozmów i jakieś zapachy potraw, zmieszane z wonią dobrych perfum.

– Czy ktoś już ci powiedział – Evan zbliżył się – że masz bardzo ładne nogi?

Obejrzała się, mrużąc oczy, ale nie zdążyła nic odrzec, bo pojawił się nagle Lucas, pan domu. Lucas nie był sam, trzymał na ręku jakiegoś paromiesięcznego bobasa, prawdopodobnie synka.

– Witamy, witamy – powiedział. – I zapraszamy do środka.

W holu i w pokoju gościnnym zaczęły się ogólne uściski, okrzyki radości, było mnóstwo zamieszania, w trakcie którego Marcy uznała, że zdecydowanie jej się tutaj podoba.

Ktoś wetknął jej kieliszek wina do ręki, a kiedy gwar nieco opadł, Marcy spróbowała uporządkować w myślach przedstawione jej przed chwilą osoby, pokojarzyć twarze z imionami.

Łatwo zapamiętała Randa i Seta, braci Clair. Mieli uśmiech Clair i te same co ona grube, czarne, błyszczące włosy. Żona Randa, Grace, prześliczna rudowłosa osóbką, była tego wieczoru prawdopodobnie najelegantszą z kobiet na przyjęciu, a Hannah, żona Seta, miała w sobie hożą prostotę wiejskiej blondynki. Kręciło się też wszędzie mnóstwo dzieci, zbyt ruchliwych, aby je można było trwale zidentyfikować.

Natomiast udało się Marcy ustalić, że są na party jeszcze dwie pary małżeńskie, Nick Santos z żoną Magie, która oczekiwała właśnie trzeciego dziecka oraz Clay i Paige Bodine – także oczekujący dziecka.

– Doszłam do wniosku, że coś musi być w tutejszej wodzie.

Marcy odwróciła się. Słowa, które usłyszała, wyszły z ust efektownej kobiety z kasztanowymi włosami do ramion, która zbliżyła się właśnie do Marcy.

– Olivia Cameron – przedstawiła się nieznajoma.

– A, słyszałam o pani. – Marcy skinęła głową, po czym wyciągnęła rękę. – Ja nazywam się Marcy Pruitt... A z tą wodą: co miała pani właściwie na myśli?

– Miałam na myśli jakieś zarazki ślubno–dziecięce. – Olivia rozejrzała się po tłumie gości w różnym wieku i zwilżyła usta w swoim kieliszku. – Liczę, że chodzi tu tylko o wodę. Bo gdyby to coś unosiło się w powietrzu, wszyscy bylibyśmy załatwieni.

Marcy uśmiechnęła się.

– Wiem, że zajmuje się pani architekturą wnętrz, Clair mówiła mi o tym. I o pani sklepie z antykami też wspominała.

– A ja niedawno czytałam pani tekst pod tytułem „Przeróbki z Marcy”. Był świetny. Zwłaszcza fragmenty poświęcone modernizacji domów farmerskich z przełomu wieków.

– A więc mamy ze sobą coś tam wspólnego. – Marcy zajrzała do swojego kieliszka. – To dobrze, bo właśnie miałabym do pani interes. Moja redakcja będzie robiła materiał o różnych małych antykwarniach i ten pani sklep świetnie by się nam nadał. Czy mogę liczyć... ?

– Ależ z przyjemnością. – Olivia trąciła kieliszek Marcy swoim.

Obie wzniosły toast i właśnie w tej chwili pojawiła się obok nich Julianna, pani domu.

– Puste kieliszeczki? To co, chyba je napełnimy?

– Czemu nie – odpowiedziały chórem Marcy i Olivia i zaraz się zaśmiały.

Julianna poszła po butelkę, a Olivia nachyliła się ku Marcy.

– Bardzo panią przepraszam – odezwała się półgłosem – ale intryguje mnie ten samotny przystojniak pod oknem. Kto to może być? Nie wie pani czasem?

Marcy odwróciła głowę i serce zabiło jej mocno, ponieważ Olivia pytała o Evana. Postarała się opanować.

– To Evan, brat Jacoba – powiedziała. – Chciałaby go pani poznać?

– Uhm. Nawet bardzo... Ale może przyjechał... z panią? – zastanowiła się na głos Olivia.

– Rzeczywiście, przywiózł mnie tutaj – przyznała Marcy. – Ale poza tym... znamy się od niedawna. Prawie wcale.

– Jest pani pewna? Bo gdyby coś między wami było...

– Ależ nic nie ma. – Marcy uśmiechnęła się swym telewizyjnym uśmiechem. – Naprawdę, z przyjemnością poznam was ze sobą.

– Nie, jednak nie. – Olivia pokręciła głową. – Albo inaczej... – zerknęła ku Evanowi. – Dlaczego sama nie miałabym podejść?

Słowa te usłyszała Julianna, która zbliżała się właśnie z butelką wina.

– Brawo, Olivio! – powiedziała. – Świat należy do odważnych. – Potem spojrzała na Marcy. – To co, dolać wina? – I uniosła butelkę.

– Nie, ja już chyba dziękuję.

– A co się stało?

– Kręci mi się w głowie.

Julianna uśmiechnęła się i ruszyła ku następnym gościom. Marcy obserwowała zaś z daleka, jak Evan uśmiecha się do Olivii i ściska podaną mu rękę.

Ja samą ścisnęło coś w żołądku.

Nie mogła nie zauważyć, jak oni do siebie pasują: Evan i Olivia. Oboje są przystojni, wysocy i tacy... swobodni.

Poczuła nagle, że potrzebuje dużo powietrza.

Odwróciła się na pięcie i wymijając przebiegające pędem stadko dzieci, poszła powoli w stronę drzwi uchylonych na taras.

Na zewnątrz oparła się o niklowaną barierkę i obserwowała, jak słońce chowa się za pergolę. Upał zelżał, nasycaly się barwy kwiatów. Na wystrzyżonych starannie trawnikach dostrzegła porozrzucane dziecięce zabawki. Posłyszała szmer strumyka, który płynął za białą altanką.

Kiedy w głębi domu wybuchły głośne śmiechy, odwróciła się. Zdała sobie sprawę z tego, że nie należy do tej rodziny, do tego zgromadzenia, do grona tych wesołych ludzi.

Tęskniła zawsze za przyjaźnią, za towarzystwem. A jednak zwykle trudno było jej włączyć się w jakikolwiek zespół. Czowała się „pojedyncza” i z trudem to przełamywała.

I pewnie dlatego zaczęła kiedyś swą karierę od profesjonalnego organizowania przyjęć. Catering stwarzał okazję do bycia między ludźmi, dzielenia ich dobrego nastroju. Była to i praca, i pasja, prawdziwa praca dla przyjemności i pożytku.

Powróciła do obserwacji ogrodu. Trawniki, altanka, zabaweczki dzieci... Tak, tu się żyje jak w rodzinnym gnieździe. Pomyślała, że sama nie ma gniazda. Ma dom, owszem, ale własnego gniazda nie stworzyła.

Oczywiście, to przez Evana te myśli. Żaden dotąd mężczyzna nie sprowokował jej do takiego ciągu skojarzeń. Cały jej organizm czuł, że z Evanem...

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Co za pomysły!

Ale właściwie czemu nie...? Ona jemu też się chyba spodobała. „Masz piękne nogi”, tak jej powiedział.

Wyprostowała się. Nie, jednak nie; w końcu to wszystko nie ma sensu. Z jednego komplementu wysnuwać całą przyszłość? Zupelna dziecinada. Z jakichś tam dwóch pocałunków...

Zresztą, ten Evan to przecież zwykły podrywacz! Z jakim zapałem zajął się teraz Olivią. Nie, lepiej na niego machnąć ręką.

– Tu się ukryłaś!

Drgnęła, usłyszawszy za sobą głos... Evana. Spojrzała przez ramię.

– Nie ukrywam się. – Wzruszyła ramionami. – Ja tylko... podziwiam widoki.

Evan oparł się obok niej o barierkę. Miał w ręku otwartą butelkę z piwem, z której teraz pociągnął łyk.

– W Los Angeles nie masz takich widoków? – zapytał.

– Raczej nie – przyznała szczerze. – A ty byłeś kiedy w Los Angeles?

– Nie miałem dotąd powodów. – Wyciągnął rękę ku Marcy i założył jej opadający kosmyk włosów za ucho. – Ale gdybym kiedyś miał, pierwsza się o tym dowiesz.

Dotknięcie jego palców zelektryzowało Maecy. I zaraz zeszywniała. Poczowała, że ma sucho w gardle. Chętnie łyknęłaby z tej butelki, z której on się raczył.

– Marcy Pruitt, kiedy zamierzasz mi powiedzieć, o jaką aferę chodzi?

Marcy drgnęła, usłyszawszy za sobą głos Clair. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że jej przyjaciółka wyszła na ganek z Jacobem.

Uśmiechnęła się niepewnie, odsuwając się od Evana.

– Co masz na myśli mówiąc o „aferze”?

– No, nie udawaj. Chodzi o ten telefon, który miałaś dziś po południu z Los Angeles, a który recepcja przełączyła do pokoju Evana – wyjaśniła Clair. – Zdaje się, że wszyscy, wliczając w to mego przyszłego męża, wiedzą, kto dzwonił... Tylko ja nie wiem – poskarżyła się.

Masz ci los! Marcy poczuła, że ogarnia ją panika. Wyraźnie coś przeciekło do Clair w sprawie tego detektywa. Obróciła się ku Evanowi. Jej oczy zwęziły się.

– Przecież miałaś nic nie mówić. On podrapał się w kark.

– Niby tak... Ale miałem nie mówić Clair. Natomiast pomyślałem, że Jacob powinien się wszystkiego dowiedzieć...

– Mówcie! – wykrzyknęła Clair w desperacji. – Ja ciągle nic nie wiem!

– No dobrze – westchnęła Marcy. – Otóż moja szefowa wynajęła prywatnego detektywa, żeby mnie tutaj wytropił.

– Cooo? – Clair zrobiła wielkie oczy. – Wytropił? A cóż to, ukrywasz się przed nią czy jak? O co tu w ogóle chodzi?

– Wiesz, Clair... – Jacob otoczył swoją narzeczoną ramieniem. – Myślę, że później się nad tym zastanowimy, dobrze? W każdym razie ja już dzwoniłem do L.A. – Spojrzał na Marcy. – Mam tam przyjaciela, który dużo może... A my tutaj, swoją drogą, będziemy mieli oko na ewentualnych obcych, w mieście czy w hotelu.

Marcy zauważyła opiekuńczy gest Jacoba i poczuła ukłucie zazdrości. Jacy oni szczęśliwi! Tak im dobrze ze sobą. I tak idealnie do siebie pasują. Kiedyż jej los pozwoli dobrać się z kimś tak harmonijnie jak jej przyjaciółce?

Spuściła głowę.

– Słuchajcie, kochani – powiedziała. – Nie zwracajcie sobie mną w ogóle głowy. Macie dosyć swoich spraw.

– Opieka nad przyjaciółmi to nie zwracanie głowy – zaprotestował Jacob. – A poza tym należy ci się specjalna ochrona – uśmiechnął się do Marcy – bo, jak słyszałem, to ty jesteś główną projektantką kaplicy, na którą już bardzo liczymy.

– No, nie robię tego sama. – Marcy spojrzała na Evana.

– A kiedy pokażecie nam jakieś szkice? – ożywiła się Clair.

Evan zmarszczył czoło.

– Myślę, że jutro. Jutro przed południem będą wydruki z komputera.

– To rozumiem, żeście dziś naprawdę pracowali. A nie tylko... – Clair uniosła jedną brew.

– Co „nie tylko”? – Evan wypił łyk piwa ze swej butelki. – Co to za obrzydliwe insynuacje...? – I puścił oko do Marcy.

Clair pogłaskała swą przyjaciółkę po rękę. Potem ujęła pod ramię swego narzeczonego.

– Chodź Jacobie, wracamy do gości. Słyszałam od Julianny, że ma dla wszystkich podniecającą grę. Jeśli, na przykład, ja wygram, ty będziesz musiał dla mnie napisać wiersz i wygłosić go publicznie.

– Jeszcze czego! – prychnął Jacob. Potem zastanowił się. – A co będzie, jeśli ja wygram?

– Wtedy twoja przyszła żona będzie się musiała dla ciebie rozebrać do bielizny. Ale zrobi to niepublicznie.

– O, pięknie, choć dlaczego do bielizny! – ucieszył się Jacob. – W takim razie chodźmy oddawać się hazardowi.

Oboje wyszli.

– No, popatrz. – Evan uśmiechnął się do Marcy. – Pół roku temu, gdyby mi ktoś powiedział, że mój brat będzie się bawił na swym wieczorze kawalerskim w pisanie wierszy, uznałbym, że ten ktoś zwariował.

– Ba, widać miłość czyni cuda – powiedziała Marcy, spoglądając w ślad za narzeczonymi.

– Miłość, miłość. – Evan przeczesał palcami włosy. – Co to jest właściwie miłość...

Marcy przyjrzała mu się ukradkiem.

– Coś mi się wydaje, że nigdy dotąd nie byłeś zakochany?

– Może i nie – przyznał. I zawahał się: – Ja tam wolę dbać o zdrowie.

– Dbać o zdrowie? – Uniosła brwi. – Też mi coś! W końcu każdy, kto żyje bez miłości jest jakby... chory.

– Proszę, proszę, piękne sentencje. – Evan przyjrzał się jej z uznaniem.

Chwilę oboje milczeli.

– No a jak tam z tobą? – podjął Evan. – Czy ty byłaś już kiedyś...

– Byłam – szybko odpowiedziała.

– W kim?

– Powiem ci, dlaczego nie. Nazywał się Leo Fitzmeyer.

Evan uniósł jedną brew.

– Leo Fitzmeyer... Brzmi to nieźle.

– Uhm... Co prawda to dawne czasy. Było to jeszcze na początku mojego pobytu w college'u. Zresztą wszystkie dziewczyny z naszego roku kochały się w Fitzmeyerze. Bo piękny był ten Leo.

– Szczęściarz. – Evan pokiwał głową, po czym przysunął się bliżej Marcy.

W niej zadzwoniły różne dzwonki alarmowe. No tak, pomyślała, ale przecież sama tego chciałaś. Wywołałaś temat miłości i masz tego skutki.

– A co się dzieje z owym Leo teraz? – spytał Evan.

– Mieszka w Nowym Jorku. – Marcy spróbowała się nieco odsunąć. – Otworzył na Manhattanie elegancką fryzjernię. Świetnie prosperuje.

– O! – Skinął głową. – Rozumiem.

– Leo ma żonę, która go kocha i trójkę udanych synków. Ostatnio pracują nad córeczką, o ile wiem.

– To dość przyjemne, z tego co wiem. – Evan uśmiechnął się.

Marcy nie spuściła oczu. Wcale nie żenował jej taki temat.

– A ty lubisz czy nie lubisz dzieci? – zapytała.

– Lubię, lubię. – Wzruszył ramionami. – Nie mogę się, na przykład, doczekać chwili, kiedy zostanę stryjkiem. Nie wątpię, że Jacob i Clair postarają się dla mnie wkrótce o jakichś bratanków.

– Serio? – Zmrużyła oczy. – Mówisz serio?

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, wewnątrz domu wybuchły głośne śmiechy. Oboje spojrzeli w tamtą stronę. Widocznie zaczęła się ta gra, którą zapowiadała Clair.

– Pójdziemy? – zapytał Evan. – Masz szansę, Marcy, że napiszę dla
ciebie jakiś wiersz. – Chodź. – Pociągnął ją za rękę. – No, chodź!

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Droga Marcy!

Mieszkam wśród tych samych ciągle ścian i mebli od prawie dwudziestu lat! Chciałabym coś zmienić, ale nie mogą się na nic zdobyć. Brakuje mi pomysłów, zachęty... Nie podrzuciłabyś mi czegoś, Marcy? Bardzo cię proszę.

Tina z Tulsy

Przyjemnie było znowu sięgnąć po narzędzia. Praca z brygadą, pośród grania pił i zapachu świeżo ciętego drewna – wszystko to sprawiało Evanowi satysfakcję, jakiej by na pewno nie osiągnął na żadnej posadzie, siedząc za biurkiem.

W ciągu tygodnia doprowadzili kaplicę do stanu surowego. Zdążyli też wykonać wszystkie niezbędne instalacje elektryczne.

Evan otarł czoło. Zatknął za swój pas monterski młotek i spoglądał, jak jego brygadzysta, Tom, daje znaki operatorowi małego dźwigu. Kładziono ostatnie belki więźby dachowej.

Kątem oka dostrzegł Marcy, która w skupieniu próbowała pędzlem różnych kolorów farby na surowych belkach. Szukała najodpowiedniejszego. Tak była zatopiona w swej czynności, że zdawała się zupełnie nie wiedzieć, co dzieje się dookoła.

To źle, uznał Evan i rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie kręci się nikt niepowołany. Powinna być bardziej czujna... Czyżby zapomniała, że jej szefowa tropi ją przez wynajętego człowieka? Na szczęście ja tu jestem, pomyślał i to go uspokoiło.

To, że Marcy dołączyła do brygady Evana, początkowo złościło jego współpracowników. Nie czuli się swobodnie, musieli uważać na to, co

mówią. Bo, na przykład, nie klnie się przy damach... Po paru dniach oswoili się jednak i zaakceptowali jakoś pannę Pruitt.

Niektórzy zaakceptowali ją nawet zanadto, jak uznał Evan. O, na przykład, ten mały pomocnik, James... Idzie właśnie z puszką wody sodowej w stronę Marcy. Proponuje jej napój, a Marcy z wdzięcznością ją przyjmuje... Czemu ona się tak uśmiecha do tego Jamesa?

Od paru dni wszyscy widzą, że ten chłopak smali po prostu cholewki do Marcy. Trzeba go będzie porządnie zniechęcić. Evan aż zgrzytnął zębami.

Obserwując od tygodnia Marcy, tutaj, na budowie kaplicy, można było się zorientować, gdzie w ogóle tkwią źródła sukcesu życiowego tej kobiety. Otóż miała ona zdolność zarażania ludzi swym entuzjazmem. Cieszyła się każdym drobiazgiem, podziwiała różne oczywistości, znajdując w nich małe cuda. „O, jaka piękna ściana, jak dobrze idzie wam robota, co za niezwykle gwoździe”.

Wszędzie się wtrącała, trochę zawadzała, ale ostatecznie mobilizowała zespół.

Evan zastanowił się, czy była typem entuzjastki również... w innych sprawach.

On i ona pozostawali cały czas przyjaciółmi, nikim więcej. Wynikało to z jej, nie z jego nastawienia. Owszem, spotykali się także i po pracy, zjadali wspólne kolacje, rozmawiali o różnych rzeczach, ale potem – potem Marcy życzyła mu dobrej nocy i szła spać do siebie.

Coraz częściej pojawiała się w snach Evana... I były to gorące sny. No tak, ale na jawie wciąż dzielił ich ten dystans, którego Marcy nie pozwalała mu zmniejszyć... Właściwie nie wiadomo, dlaczego: oboje byli dorośli, podobali się sobie, nie byli z nikim związani.

A *więc* właśnie: dlaczego?

Evan przypatrywał się teraz Marcy, jak przytyka puszkę z wodą do ust i pije. Poczł nagłę požądanie, gdy zaczęła oblizywać górną wargę.

Odwrócił się, złapał za młotek, który miał u pasa, wyciągnął go i z rozmachem wbił kolejny gwóźdz w belkę.

Ależ oczywiście wiedział dlaczego! Ponieważ z tą Marcy nic nie było proste. Nie była to kobieta zdecydowana na łatwą przygodę. Evan czuł, że ona szuka w życiu czegoś więcej. Zapewne chciałyby mieć już dom, gniazdo, rodzinę. Dzieci. Natomiast on nie czuł się jeszcze gotów do takich rzeczy. I nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie gotowy!

Marcy po ślubie Clair wróci do Los Angeles, a on pojedzie na swą kolejną budowę... I ona zgaduje, że tak będzie. Również dlatego trzyma się od niego z daleka.

A jeśli (tu nowy domysł przeszył głowę Evana), jeśli ona w ogóle jest jeszcze dziewicą?! I stąd jej ostrożność?

Nie daj Boże mieć do czynienia z dziewicą, zasepił się Evan. Ileż to cackania się, i jak łatwo taką urazić, albo i skrzywdzić. Marcy wydaje się taka krucha... Prawie jak z porcelany. Zasluguje na kogoś zdecydowanie lepszego niż ja, podsumował Evan.

Z desperacją łupnął młotkiem, wbijając w belkę następny gwóźdz aż po główkę.

Mimo dobrej woli skupienia się na robocie, odłożył młotek i wrócił ukradkiem do obserwowania Marcy. Ocenil, że jest pociągająca nawet w kasku budowlanym i w kombinezonie.

Po chwili zauważył Jamesa. Chłopak, zamiast piłować, stukać i heblować, znów znalazł się w pobliżu obiektu swoich westchnień.

No nie, tego już za wiele. Evan złapał swój młotek, wsadził go za pas i ruszył w ich stronę.

Praktykant na widok szefa szybko zrejterował.

Natomiast Marcy rozpromieniła się.

– Świetnie, że jesteś – powiedziała. – Właśnie chciałam cię zapytać, co myślisz o tych – pokazała głową – próbkach kolorystycznych.

Owszem, powiedziała by jej, co myśli, ale raczej o czymś innym... Powiedziała by, na przykład, że ma chęć pójść z nią natychmiast do łóżka, ot co. Naturalnie był to pomysł bez szans realizacji.

W tym samym momencie zauważył logo swojej firmy „Evan Carver, Konstrukcje” na piersiach Marcy, na koszulce.

– Ładna koszulka. – Uśmiechnął się.

– Dał mi ją Tom. Powiedział, że cała brygada takie nosi, więc ja też powinnam. Nie masz nic przeciwko temu?

Przez chwilę skupiał wzrok na krągłościach jej piersi, rysujących się wyraźnie pod literami jego nazwiska.

– Dlaczego miałbym być temu przeciwny?

Posłała mu nieodgadnione spojrzenie, po czym obróciła się ku swym barwnym próbkom.

– Co byś wolał umieścić na portalu wejściowym, waniliowy lód czy pochmurną dziewiątkę?

Ściągnął czoło w wyrazie skupienia. Co za dureń powymyślał takie nazwy farb?

– Wiesz co... – zastanawiał się. – Kup po puszcze tego i tego. Oświetlenie jeszcze się tutaj zmieni, gdy zbudujemy ściany i strop. Wtedy ostatecznie wybierzemy.

Kiwając głową, umieściła obie dłonie nisko na plecach i odgięła się. Był to zwykły gest odprężający, niemniej Evan odebrał go jako gest zapraszający. Zaraz się jednak skarcił w myślach za takie skojarzenia.

Marcy uśmiechnęła się.

– Budowa świetnie idzie – powiedziała. – W tydzień postawię prawie całą konstrukcję.

– Nie ja. My. – Zauważył smuzkę drobnego pyłu drzewnego na policzku Marcy. Miał chęć zetrzeć go, ale założył tylko kciuki za swój pas monterski. – Zresztą, Clair płaci chłopakom nadgodziny, więc uwijają się. Są dobrze motywowani. Wzruszyła ramionami.

– Myślę, że to nie tylko sprawa pieniędzy. To ty jako szef masz na nich dobry wpływ. Pracujesz razem z nimi, masz ich na oku, a poza tym oni cię po prostu lubią. Nie wszystko można mieć za pieniądze.

Przyglądał jej się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Szczerść w głosie Marcy i jej wielkie szarzielone oczy onieśmieliły go. Nikt nie rozmawiał z nim w ten sposób, no może Jacob, ale ten, do licha, był przecież jego bratem. Szczerść między braćmi to nic niezwykłego.

– Jesteś miła. – Włożył palec za kołnierzyk koszuli, starając się go rozluźnić. – Ale skoro już tak, to powiedziałbym, że moi koledzy bardziej próbują się przypodobać tobie niż mnie. W paru z nich, jak zauważyłem, masz prawdziwych fanów. A już ten James... Chyba go zwolnię, jeśli będzie się tak bez przerwy w ciebie wgapiał.

Zaraz pomyślał, że i siebie mógłby zwolnić za coś podobnego.

– James? – Marcy, marszcząc czoło, zerknęła ku praktykantowi. Jej policzki oblókł rumieniec, gdy zauważyła, że, w istocie, nawet teraz ten chłopiec na nią patrzy. – Ale przecież ty nie myślisz...

Jej rumieniec pogłębił się, gdy przeniosła spojrzenie na Evana.

On skinął głową.

– Właśnie, że tak myślę.

– No coś ty! Przecież on jest o pięć lat ode mnie młodszy. – Pokręciła głową. – Nie, broń Boże, nie zwalnij go. To nie ma sensu. – Poprawiła okulary na nosie. – Evan, proszę cię, powiedz, że żartowałeś.

Czemu ona się tak nagle martwi o tego chłopczyka, zastanowił się. Coś chyba jest między nimi naprawdę. Do licha!...

– W porządku – mruknął. – Jamesowi nic nie grozi. W każdym razie nie z mojej strony. – Uśmiechnął się krzywo. – Oczywiście, dopóki zechce mu się pracować. Ale w jego życie prywatne czy w twoje pchał nosa nie będę.

Marcy zsunęła nieco okulary i spojrzała na Evana sponad szkieł.

On zaś zabębnił palcami w najbliższą belkę.

– To co, wracamy do roboty?

– Oczywiście – zgodziła się. Po czym sięgnęła po swój notatnik, rzucony na wierzch skrzynki z gwoździami; – Popatrz, zrobiłam kilka szkiców i spis rzeczy potrzebnych do zaaranżowania roślinności w kaplicy i naokoło niej... Aha, powinniśmy też omówić zasady zraszania kwiatów, i jeszcze... pamiętasz, chodzi o tę małą fontannę przed wejściem... Właściwie moglibyśmy się spotkać wieczorem w tej sprawie.

– Świetnie – zgodził się Evan.

W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Słucham?

Marcy zauważyła, jak w trakcie rozmowy zmienia się twarz Evana.

– Olivio, no dobrze – powiedział miękko. – Ale właściwie o co chodzi?

W Marcy zadrżało serce. Cóż, można się było tego spodziewać. Olivia po ostatnim party nie daje za wygraną. Ta dziewczyna wie, czego chce i ma tupet...

– Kiedy? – zapytał Evan. – W porządku. To się da zrobić.

Po skończonej rozmowie uśmiechnął się dziwnie do Marcy.

– Niestety, dziś wieczorem będę zajęty... A ty mogłabyś się spotkać z Clair, co?... Te szkice, o których mówiliśmy, obejrzymy rano.

– W porządku – powiedziała. I postarała się o beztroski uśmiech. Po co miała mu zwracać głowę stanem swojej duszy? Albo takim drobiazgiem, że Clair ma dziś wieczorem umówionego dyrektora generalnego pewnej spółki paliwowej, który zamierza urządzić w hotelu w najbliższych dniach seminarium dla współpracowników. – A więc spotkamy się rano. W porządku – powtórzyła.

– No, to wszystko gra.

Evan odwrócił się i nagle krzyknął w stronę Toma:

– Hej, jak długo jeszcze będziecie się cackali z tymi krokwiemi! Tom, na jutro rano chcę mieć kamieniarzy do cokołu, dokładnie na szóstą trzydzieści. Zrozumiano?

Obejrzał się w stronę Marcy, a ona z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że Evan chciałby już stąd odejść.

– Gdyby były jakieś problemy – odezwał się do niej – to zawsze masz pod ręką Jacoba. Zresztą... – sięgnął po ten notatnik, który ścisnęła w dłoni. – Zapiszę ci tu numer mojej komórki, gdybyś mnie potrzebowała.

Gdyby go potrzebowała? Ejże! Prędzej wybiegnie nago na ulicę, niż do niego zadzwoni.

– Jakoś dam sobie radę.

– Mam nadzieję, że dasz. – Uśmiechnął się. – Ale najlepiej byłoby, żebyś nie wychodziła dziś wieczorem z pokoju. Tak będzie najbezpieczniej.

– Dobrze – odrzekła i zacisnęła zęby. – To do jutra.

– Do jutra. – Oddał jej notatnik, odwrócił się na pięcie i odszedł.

W Marcy buzowały emocje.

Zostać dzisiaj sama w pokoju? Siedzieć potulnie? O nie. Mowy nie ma! Co on sobie wyobraża, że ma do czynienia z jakąś sierotką? Prowincjonalną idiotką?

Szybko ruszyła w stronę holu hotelowego. Tam przywołała windę, wsiadła i nacisnęła guzik drugiego piętra.

Evan wrócił tej nocy do hotelu bardzo z siebie zadowolony.

Pogwizdując z cicha, wysiadł z windy i ruszył korytarzem. Po męczącym dniu powinien być skonany. Dochodziło wpół do jedenastej, tymczasem on tryskał energią.

Zatrzymał się przed pokojem Marcy. Miał chęć zapukać, ale może ona już śpi? Przyłożył ucho do drzwi.

Nic, cisza.

A więc śpi. Grzeczna dziewczynka.

A może jednak nie śpi, tylko czyta? Albo rozmyśla?

Zdecydował się i lekko zastukał.

Nie było odpowiedzi.

No dobrze, wobec tego chyba rzeczywiście zasnęła. Postał, pomyślał i mimo wszystko ponowił pukanie. Nadal nie było żadnej reakcji. Trudno, wobec tego trzeba dać dziewczynie spokój. Jeszcze się obudzi i będzie rozżalona.

– W takim razie do rana – zamruczał cicho i pomaszerował do swego pokoju.

Ledwie wszedł, złapał za komórkę, którą zostawił na komodzie. Obejrzał jej ekranik... Ani śladu ikonki informującej, że ktoś dzwonił. Dziwne.

A jeśli Marcy nie ma w pokoju? Może jej się coś stało?

– Sam do niej zadzwonię – szepnął. – Dla sprawdzenia.

Przyłożył aparat do ucha. Długi sygnał – i cisza. Nikt nie odbiera. Zaczaj oglądać swój telefon z wszystkich stron, jakby miał do czynienia z rzeczą popsutą.

A może Marcy wzięła relanium i śpi jak zabita? Westchnął.

Co robić? Rozejrzył się po swoim pokoju. Ależ tu pusto...

Do licha, poczuł, że brakuje mu tej kobiety. Znowu się rozejrzył. Jest piątek wieczorem, na dole gra orkiestra. Spać mu się nadal nie chce... Uznał, że możnaby trochę posłuchać muzyki i napić się zimnego piwa. Dlaczego nie?

Wziął szybki prysznic i przebrał się. Do czarnej koszulki założył płowe, lniane spodnie. Przejrzył się w lustrze...

Całkiem nieźle wyglądam, pomyślał, całkiem nieźle. Wychodząc z pokoju, zatrzymał się w progu. Zabrać ze sobą komórkę czy nie? E, nie warto. O tej porze! Wyszedł.

Pub na dole był zatłoczony. Na małym parkiecie podrygiwało energicznie kilka par. Evan wiedział, że te wieczory z muzyką na żywo były pomysłem Clair i przy tym strzałem w dziesiątkę. Przyciągały nie tylko wielu gości hotelowych, ale i ludzi z miasta.

Rozglądał się, prąc naprzód przez tłum. Wtem uśmiechnęła się do niego jakaś ładna blondynka – na co nie mógł odpowiedzieć inaczej niż także uśmiechem. Ale przeciskał się przez tłum dalej. Zgrabna ruda tańcząca solo dała mu znak, żeby do niej dołączył. Rozłożył ręce i minął ją, bo nie miał ochoty na taniec.

Na jednym ze stołków barowych zauważył, ku swemu zaskoczeniu, Jacoba.

– Hej! – spróbował przekrzyczeć muzykę. – Cześć, bracie! A gdzież to zgubiłeś swoją narzeczoną?

– Cześć! Ona zaraz tu będzie. – Jacob kiwnął na barmana, żeby podał jeszcze jedno piwo. – Miała konferencję, która się przeciągnęła.

– Konferencję? – Evan ściągnął brwi. – To Clair nie była dzisiaj z Marcy?

Jacob zaprzeczył ruchem głowy.

– Clair powiedziała mi, że Marcy będzie z tobą.

O, do licha! Evan poczuł niepokój.

– Dlaczego tak myślała?

– Bo Marcy nagrała jej na sekretarkę wiadomość, że wychodzi na cały wieczór. Myśleliśmy, że idzie z tobą.

– A jednak nie ze mną... – westchnął Evan, wspinając się na stołek. – Ja jej mówiłem, żeby najlepiej posiedziała w pokoju.

– Mówiłeś?

– To znaczy radziłem. – Evan, zatroskany, rozejrzał się dokoła. Zauważył w kącie pubu mężczyznę z krótko ostrzyżoną brunetką i zaczął się zastanawiać, czy już tego faceta gdzieś nie widział. – Oczywiście dla jej własnego dobra.

– Dla jej dobra – Jacob uniósł jedną brew – czy dla twojego?

Evan sięgnął po kufel z piwem, który mu podsunął barman.

– Co ty chcesz mi wmówić?

– Nic ci nie wmawiam. Tyle, że wszyscy widzą, jak się mój braciszek przystawia do Marcy. Ty, no i jeszcze ten mały James.

Evan zaśmiał się i pociągnął z kufła.

– Chłopie, mało wiesz. Ja się do nikogo nie przystawiam. – Nagle odsunął kufel i spojrzał ostro na brata. – Zaraz... A co z tym Jamesem?

– No, mały ma odwagę. Podobno zawiadomił kolegów, że umówi się dzisiaj z Marcy.

– Naprawdę? – Evan nagle poirytowany pomyślał, że od poniedziałku jego brygada będzie pracowała jednak chyba w zmniejszonym składzie.

No tak, ale co z samą Marcy? Rzeczywiście dała się poderwać pomocnikowi murarza? Znow rozejrzał się dokoła, na wszelki wypadek, bo może gdzieś tu ona i on... ?

Nie, niczego nie zauważył. Oprócz tamtej intrygującej pary w kącie. Mężczyzna właśnie odbierał z rąk kelnerki dwa koktajle. Kimkolwiek on jest, ma dobry gust, z uwagi na brunetkę oczywiście... Piękna jest ta dziewczyna; wygląda na ognistą. A nogi (Evan przekrzywił głowę) ma jak stąd... aż do wtorku. Resztę figury także bez zarzutu.

– Cześć chłopaki, przepraszam za spóźnienie – rozległ się głos Clair. – A gdzież Marcy?

– Evan gdzieś ją zgubił. – Jacob wzruszył ramionami.

– Wcale nie zgubiłem. – Evan powiedział to z naciskiem, po czym zsunął się ze stołka, ustępując miejsca Clair. – Może jednak pójde jej poszukać.

– Czekaj. – Złapała go za ramię. – Prawdopodobnie nie ma potrzeby. Kwadrans temu zadzwoniła, że spotkamy się właśnie tu na dole, po mojej konferencji.

– Tutaj? – Evan znow rozejrzał się po tłumie dookoła.

– Czy ona zwariowała? Ktoś ją tu może wyśledzić.

– Też mi to przyszło do głowy – powiedziała Clair.

– Ale czekajcie no, tam siedzi Sam. Może jego zapytamy... O rany!

Evan podążył wzrokiem za spojrzeniem zaskoczonej Clair. Spoglądała w stronę mężczyzny siedzącego w kącie sali. No tak, przecież to Sam. Jej dyrektor generalny. To dlatego wydał się skądś znajomy. A ta seksowna brunetka naprzeciw niego...

Niemożliwe.

Evan wpatrywał się w krótko ostrzyżoną piękność z długimi nogami. Marcy?

Gapił się tak intensywnie, że w pewnej chwili obserwowana podniosła głowę. Jej kąciki ust drgnęły. No tak, przecież to Marcy. Serce zaczęło mu mocno walić.

– Wielkie nieba! – jęknęła Clair. – W takim wcieleniu żaden detektyw jej nie pozna. Nie ma zmartwienia.

– Hej, bracie. – Jacob dał kuksańca Evanowi. – Obudź się. Czemu masz takie okrągłe oczy?

Evan drgnął. Poskrobał się w niedogolony policzek, a Jacob wypił łyk piwa ze swego kufla.

– Nie podejdziesz do niej, nie przywitasz się? Clair wstała, biorąc to do siebie.

– Oczywiście. Już idę.

– Ja mówiłem do Evana. – Jacob uniósł jedną brew.

– Och... – Clair spojrzała na Evana, potem na Marcy, potem z powrotem na Evana. – Rozumiem. Jasne.

– Ale może nie chciałbyś jej przeszkadzać? – drażnił się dalej Jacob. – Jeszcze popsułbyś jej randkę.

Randkę? Evan poczuł, że zaczyna mu drgać nerw w kąciku oka. Zostawił Marcy na jeden wieczór, a ona od razu przeistoczyła się w jakiegoś wampa i umówiła się z facetem!

Z rozmachem odstawił kufel, zacisnął szczęki i ruszył ku tej parze, roztrącając tłum kłębiący się w pubie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Droga Marcy!

Chcę wymienić lukowy panel w oknie mej sypialni, jest jednak tyle możliwości! Nie umiem się zdecydować. Potrzebowałabym czegoś, co nie tylko da światło, ale będzie też romantyczne i piękne. Podpowiedz mi, jak stworzyć coś niepowtarzalnego.

Caren z Fairfax

Marcy, widząc Evana roztrącającego tłum, poczuła, że mocno zaczyna jej walić serce. Dobry Boże! Dlaczego on ma taki groźny wyraz twarzy? Zacisnęła palce na kieliszku z merlotem, którego zamówił dla niej Sam.

– Coś nie tak...? – zaniepokoił się Sam.

– Nie, nie, wszystko okej. – Spróbowała się uśmiechnąć i wypła łyk wina.

– Jeśli boisz się, że ktoś cię tu rozpozna, możemy...

– Nie, nie trzeba. – Pokręciła głową. – Właściwie wydają się Mercy tak zamaskowana, że sama siebie nie poznaje.

– Marcy... – Sam pochylił się do przodu i wyciągnął rękę, nakrywając swoją dłoń jej dłoń. – Odpręż się. Fantastycznie wyglądasz.

Z początku dziwnie się czuła, prosząc dyrektora generalnego hotelu Four Winds o pomoc w kreacji nowego wyglądu. Ale Sam – jak również personel hotelowego salonu piękności – wszyscy potraktowali ją z wielkim zrozumieniem. W ciągu ostatnich pięciu godzin przebierano ją, strzyżono, malowano – aż w efekcie stworzono całkiem nową Marcy Pruitt.

Kobietę nową – w tym momencie dosyć jednak przestraszona, ponieważ do jej stolika zbliżał się z groźną miną Evan Carver.

Zbliżał się z miną groźną – ale i dziwnie... głodną? Tak, głodną.

Gdy jeszcze siedziała na fotelu w salonie piękności mówiła sobie, że mało ją obchodzi, co Evan powie na to wszystko. Zmienia się, bo sama tego potrzebuje. Teraz jednak wiedziała, że było to kłamstwo. Nie dla siebie jednak wymyśliła swoją przemianę.

Wymyśliła ją dla Evana.

Może to głupie, może nawet idiotyczne, ale zapragnęła, żeby zechciał na nią spojrzeć nowymi oczami, głodnymi – właśnie tak, jak teraz na nią patrzy.

Sam znowu ku niej się nachylił.

– A może chcesz, żebym sobie już poszedł?

– Poszedł? – Nagłe przestraszyła się, że mogłaby teraz zostać sam na sam z Evanem. – Nie, nie, proszę cię, siedź.

Pokręcił głową.

– Zdaje się, że wiem, z kim wolałabyś tu posiedzieć.

Otworzyła usta, aby protestować, jednak zrozumiała, że nie warto kłamać. Dyrektor wyraźnie nie kupił historyjki o tym, że potrzebuje nowej charakteryzacji z obawy przed jakimś tropicielem z Los Angeles.

– Ale... – Sam poruszył brwiami. – No dobrze. – Uśmiechnął się. – To może na pożegnanie podrażnijmy się jeszcze z panem Carverem. – Po tych słowach uniósł się w krześle, pochylił nad stołem i pocałował Marcy w policzek.

Zerknęła w stronę Evana i zauważyła, że jeszcze chwila, a Sam dostanie po prostu w zęby.

– To lepiej już idź – szepnęła. – Idź.

Sam, uniósłszy rękę w geście pożegnania –powitania, skrzyżował spojrzenie z Evanem i szybko zaczął się oddalać.

Evan dopadł do stolika. Oparł się o blat zaciśniętymi pięściami.

– Co ty wyrabiasz, Marcy – odezwał się grobowym głosem.

– Jak to co – odparła lekkim tonem. – Chyba widzisz. Przyszłam do baru na drinka.

– Nie udawaj – Evan skrzywił się. – Wiesz, o co pytam. Dlaczego w ogóle kuszysz los i umawiasz się na jakieś randki. I co się stało z twoimi włosami?

Stropiła się. Z włosami?... A więc źle go zrozumiała? Nie patrzył na nią głodnymi oczami? To jakimi?... Była chyba głupia, sądząc, że spodoba mu się taka odmieniona. Wygląda na to, że nawet armia specjalistów z salonu nigdy nie przemieni prostej, poczciwej Marcy Pruitt w femme fatale.

I ta konstatacja myślowa nagle ją rozzłościła.

– Nie wiem, na czym polega twój problem, Carver – syknęła i hardo uniosła głowę. – Ale tak się składa, że ja się sobie podobam w tych właśnie włosach i w tej sukience, i zamierzam też chodzić do baru, kiedy zechcę, bo jestem dorosła.

Evan zamrugął oczami.

– A czy ja mówię – w zakłopotaniu potarł nos – że mi się nie podobają twoje włosy i sukienka?

– No widzisz – odparła i wypila łyk wina ze swego kieliszka. – Nie chciało mi się chować w pokoju jak zestrachanej myszce... Trochę się ucharakteryzowałam i... Kto nie ryzykuje, ten nie żyje.

Evan opadł na krzesło obok niej.

– A jednak lepiej nie ryzykuj. – Rozejrzał się dookoła. – I wiesz co...? Może byśmy stąd wyszli?

– Ale ja jeszcze nie skończyłam... – Uniosła do góry swój kieliszek.

Evan jednak zaczął się podnosić.

– Chodźmy – powtórzył. – Proszę.

Wzruszyła ramionami i wypila resztę swego merlota.

– No dobrze.

Miała nadzieję, że teraz pojedą windą do niego albo do niej i... No właśnie, ale co dalej?

Jednak Evan pociągnął ją za sobą w stronę patio, tam, gdzie od tygodnia wznosili tę ślubną altanę.

Poczuła rodzaj rozczarowania. Jakże to, a więc cała jej szuka uwodzenia na nic? Idą na budowę? To znaczy, że równie dobrze mogłaby teraz być w kombinezonie, a nie w tej minisukience i na szpilkach.

Evan zatrzymał się na progu kaplicy.

– Teraz zamknij oczy – powiedział.

Wzruszyła ramionami.

– Po co? – Zrobiła jednak, o co prosił.

Rozchylając firmowe płachty, spowijające obiekt, weszli do środka. Marcy poczuła zapach trocin. Gdzieś z daleka doleciały ją tony muzyki, prawdopodobnie z jednej z sal restauracyjnych.

– Po cośmy tu przyszli? Jesteś pomyłony. – Pokręciła głową.

– Może i jestem – przyznał. – Dobrze, możesz otworzyć oczy.

Posłusznie je otworzyła.

I ujrzała, że księżyc prześwietla akurat witraż wmontowany w małą apsydę, na osi kaplicy. W rysunku witraża były różyczki, dokładnie dwie purpurowe róże w centrum, okolone wieńcem bluszczowym, soczyście zielonym. Całość widniała na tle udającym szlifowane diamenty.

Uśmiechnęła się.

– Piękne to! Ale skąd...? Kiedy...?

– To zasługa Olivii. Prosiłem ją, żeby miała oczy otwarte podczas różnych aukcji. I właśnie dziś...

– To dlatego do ciebie zadzwoniła! – Marcy spojrzała na Evana. – A ja myślałam...

Zagryzła wargę i szybko odwróciła głowę.

– Co myślałaś?

Milczała chwilę. Potem spojrzała na Evana.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, co będziesz robił wieczorem?

– Chciałem rano ci sprawić niespodziankę.

Między nimi znów zapadło na chwilę milczenie. Światło księżyca rysowało wzory diamentów i róż na ścianach kaplicy i na kamiennej posadzce.

– To naprawdę jest piękne – powtórzyła Marcy. Evan wyciągnął rękę i lekko uścisnął jej dłoń.

– Ale ty jesteś najpiękniejsza.

Zajrzała mu w oczy. Żaden mężczyzna nie powiedział jej dotąd nic takiego. I właściwie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała już takie słowa usłyszeć. Nagle pierwszy raz w życiu poczuła się jak kobieta.

On przysunął się bliżej.

– Co pomyślałaś, kiedy Olivia do mnie zadzwoniła?

Czuła gorąco i energię bijącą od Evana. Zupełnie jej to mieszało myśli.

– Ja... ja przypuszczałam, że wy... – urwała. Nie była w stanie dokończyć tego zdania.

– Że ja z Olivią?

Skinęła głową.

Evan przybliżył usta do jej ucha.

– Marcy – szepnął – mnie Olivia nie interesuje.

– Naprawdę? – szepnęła.

– Naprawdę. – Przesunął opuszkami palców po jej karku. – Aleś ty gładka...

Przeszył ją dreszcz od stóp do głów. Zamknęła oczy i przechyliła się nieco w jego stronę. A on znowu szepnął:

– Podobają mi się te twoje krótkie włosy. Choćby dlatego, że mogę... – Musnął wargami jej odsłoniętą szyję.

Poczuła, że słabną jej kolana.

– To jest... to jest takie miłe.

– Tylko miłe?

– Bardzo miłe.

Evan poszukał jej spojrzenia.

– Marcy... Bardzo cię pragnę.

Oparła się o niego.

– Ja... ja też cię pragnę.

Objęci stali nieruchomo jak zahipnotyzowani wzajemnie swą bliskością.

Evan odchylił się nieco.

– Ale jesteś pewna, że chcesz...? Chciałbym, żebyś była całkiem pewna.

Położyła mu dłoń na ustach.

– Jestem. Jestem.

Ucałował jej palce. Otoczył ramieniem kibić.

– No to chodźmy. – Uśmiechnął się.

Poddała mu się. Szła u jego boku podniecona i równocześnie napięta ze zdenerwowania. Czy sprosta temu, co sama sprowokowała?

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi windy, Evan przycisnął usta do jej warg. Był w tym geście i władczy i delikatny, przyjacielski i dziwnie groźny.

– Chodźmy do mnie – powiedział, kiedy drzwi windy otwały się.

– Czekaj – przystanęła. Schyliła się i zaczęła ściągać z nóg szpilki. – No, teraz już można.

Prawie musiała biec u jego boku, gdy zaczął stawiać długie kroki.

Dotarli na miejsce. Evan wydobył kartę elektroniczną zamiast klucza. Trzy razy nie mógł trafić do szczeliny. W końcu oboje się roześmiali.

Weszli do środka rozluźnieni już i od razu przywarli do siebie.

Marcy upuściła swoje sandały na podłogę.

Długo się całowali.

Potem Evan poszukał jej piersi.

– Marzyłem o czymś takim – zamruczał – od pierwszej minuty, kiedy cię ujrzałem.

Od pierwszej minuty? Zaskoczona uniosła oczy.

– To znaczy... że jeszcze przed dzisiejszym wieczorem?

Uśmiechnął się do niej.

– Dzisiaj wyglądasz bardzo seksownie, nie myśl, że tego nie doceniam. Ale jak dla mnie, mogłabyś się wcale nie zmieniać. Działasz na mnie nawet w tym kombinezonie, w którym widuję cię na budowie.

– W kombinezonie? – Uniosła brwi. – Chyba żartujesz.

– Nie żartuję. – Pochylił się i musnął wargami kącik jej ust. – Nie mogę przestać myśleć o tobie nawet na budowie.

Rzeczywiście, on chyba mówi prawdę, pomyślała. Dziś nawet zrobił jej coś w rodzaju sceny zazdrości... No, ale skoro tak, to może by się z nim trochę podroczyć?

– Jeśli wolałbyś kombinezon od tej sukienki, to ja szybko skoczę do siebie i się przebiorę.

– Nigdzie już nie pójdziesz, panno Pruitt. – Odpowiedział bez uśmiechu. – Chyba, że masz na myśli moje łóżko.

Po tych słowach chwycił ją na ręce i ruszył w stronę sypialni.

Otoczyła ramionami jego szyję, przywierając do silnej, szerokiej piersi. Podniecona, ugryzła go lekko w ucho.

Natychmiast nakrył jej usta swoimi.

W sypialni postawił ją delikatnie na dywanie.

Drżała w oczekiwaniu. On sięgnął do zamka jej sukienki. Nadzwyczajny dreszczyk przesuwiał się wraz z ręką Evana wzdłuż jej kręgosłupa.

Pomogła sukni opaść na podłogę i oto stała przed Evanem, bosa i prawie naga. Miała na sobie jeszcze tylko satynowe, czarne majteczki i stanik.

– Pozwól mi na siebie popatrzeć – szepnął, odstepując pół kroku w tył i obejmując ją całą głodnym spojrzeniem.

Czuła, że jego spojrzenie prawie ją pali. Chciałaby już osunąć się na łóżko, obok którego stali.

Evan głośno oddychał i zaczął szeptać coś niezrozumiałego. Zbliżył się i położył swe duże dłonie na jej piersiach. Kciukami zaczął pieścić stwardniałe sutki.

Jęknęła, odrzucając głowę w tył. On pochylił się ku niej, całując ramiona i szyję. Evan działał powoli, bez pośpiechu, pieszcząc ją z tkliwością. Mijały sekundy i minuty. Marcy czuła, że jeszcze chwila i zwariuje.

– Evanie – wyjąkała, wczepiając palce w jego gęstą czuprynę. – Evanie, proszę...

Osunęli się na łóżko. Wciąż nowe fale przenikały jej ciało. O, jak miło szorstkie ręce miał ten mężczyzna! Jej delikatna skóra czuła pod jego dotknięciami, że naprawdę żyje.

– Ojej, chyba cię trochę przygniotłem. – Evan ocknął się po chwili i uniósł na łokciach.

Marcy leżała z zamkniętymi oczami. Jaka ona piękna, przebiegło mu przez głowę. Kąciki ust miała lekko uniesione. Wyglądała na zadowoloną. Przybliżył usta do jej ucha.

– Dobrze ci? – szepnął. Powoli uchyliła powieki.

– A co, nie widać?

– Widać, widać. – Oparł się czołem o jej ramię. – Marcy, byłaś taka cudowna.

Naprawdę? – Zakołysała lekko biodrami. – Zawsze bardziej mnie podniecało myślenie o pracy niż o randkach i seksie.

Marcy odrzuciła głowę w tył i z półprzymkniętymi oczami, znów połączyła się z Evanem. Po paru minutach oboje odpłynęli tam, gdzie byli przed chwilą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Droga Marcy!

Spodobał mi się bardzo Twój artykuł w marcowym numerze o diecie i w ogóle o żywieniu. Nie miałabyś jakiejś sugestii co do ograniczenia kalorii oraz tego, jak utrzymać linię?

Jeannie z Cortlandu

Marcy, gdy obudziła się o piątej rano, czuła, że boli ją każdy mięsień. Nie była pewna, czy uda jej się w ogóle ruszyć ręką albo nogą. A cóż dopiero wstać, ubrać się i pójść do swego pokoju?

Nie zamierzała wcale pozostawać całą noc u Evana, próbowała już wyjść o drugiej, potem trzeciej. Ale za każdym razem on ją z powrotem brał w ramiona i Marcy jakoś nie protestowała.

Teraz spoglądała na śpiącego obok niej mężczyznę. Leżał na brzuchu, jednym muskularnym ramieniem przyciskając poduszkę, drugim zaś obejmując ją zaborczo w talii. Nawet pogrążony w głębokim śnie wydawał się być władczyim zdobywcą.

Zamknęła oczy i pomyślała, że spotkanie z tym człowiekiem całkowicie ją odmieniło. W samej sobie odkryła namiętą kobietę – o co nigdy by się nie podejrzewała.

Cóż, być może każda Ewa musi poczekać na przeznaczonego jej Adama.

Wiedziała zarazem, że udane spotkanie dwojga ciał nie musi oznaczać spotkania dwóch serc... Niestety. Czuła, że przed nią i Evanem nie ma wspólnej przyszłości. Za dużo ich dzieli. I byłaby głupia, gdyby się zakochała w swoim... kochanku.

A teraz? Właściwie jak mają się powitać? Na wspomnienie tego, co wyrabiali w nocy, zaczęła się nagle wstydzić. Naprawdę byłoby najlepiej pójść do siebie i przesunąć moment spotkania na jakąś późniejszą porę.

Wstrzymując oddech, pomalutku, zaczęła się wysuwać z jego objęć. Pokonując obolałe mięśnie, podniosła się i usiadła na brzegu łóżka. Sięgnęła po sukienkę.

Evan się poruszył.

– A ty dokąd? Obejrzała się.

– Już piąta – powiedziała.

– Piąta? – ziewnął. – No to co?

– Powinniśmy już chyba być...

– .. .dokładnie tutaj – dokończył za nią. Po czym podniósł głowę i musnął wargami jej usta. – .. .o i tutaj.

Gdy zaczął okrywać pocałunkami jej szyję, piersi i brzuch, wygięła się i uśmiechnęła.

– Tu też jest przyjemnie.

Od słowa do słowa, od gestu do gestu, zawędrowali tam, gdzie byli już tej nocy tyle razy.

Marcy porzuciła pokusę spoglądania na zegarek. Leżała znów bezwładnie, napełniona rozkoszą i jeszcze bardziej obolała.

Evan poruszył głową.

– Ech ty – zamruczał. – No, no!

Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. Nigdy w życiu nie usłyszała od mężczyzny nic miłszego, niż teraz właśnie od Evana.

– Uhm. – Przynęła się do niego. – Ja też uważam, że było „no, no”.

Powoli uniósł się na jednym łokciu i na nią spojrzał.

– Straszna z ciebie kochanka, Marcy Pruitt. Straszliwa. Wyciągnęła rękę i palcem dotknęła czubka jego nosa.

– Mam nadzieję, że to był komplement?

– Jasne. – Złapał ją za palec. Drugą ręką pokołysał pierś Marcy. – Jasne. To był komplement.

– Dzięki – szepnęła. – I... wiesz co? Chyba miałeś rację, że po magisterium postanowiłeś jednak pracować rękami.

Zamrugął powiekami.

– Że co? Co po magisterium...?

– No tak – pokiwała głową – bo ty masz naprawdę wielki, wielki talent w tych swoich rękach.

Evan robił co mógł, aby nie pogwizdywać, kiedy szedł na budowę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował byłyby zdziwione spojrzenia jego pracowników. I tak pewnie zapytają, czemu się spóźnił.

Ale co tam, w końcu jest tutaj szefem. Robi im wszystkim uprzejmość, stając do roboty tak jak oni.

Nielatwo było oderwać się od tej diabolicznej Marcy. Kto by pomyślał... Pokręcił głową. Co za dziewczyna!

Żegnając się z nią, poradził, żeby sobie jeszcze pospała. Wystarczy, że on jest niewyspany. Jej występy w kombinezonie nie są dziś niezbędne.

Poza tym – jeśli ona będzie wypoczęta, tak sobie teraz kalkulował, nabierze może ochoty na następną taką noc. Kto wie?

– Patrzcie: całkiem zielony na gębie – usłyszał nagle głos brata.

Zatrzymał się.

– Chłopaki robią zakłady – Jacob uśmiechnął się – która to laleczka miała dzisiaj szczęście być twoją wybraną.

– Jake, nie wtrącaj się. – Evan wkroczył na plac budowy. Rozejrzał się po wnętrzu kaplicy i zauważył, że jego brygada nadstawia ucha, udając tylko, iż pracuje.

– Dobrze, dobrze! – Jacob wyciągnął w stronę brata rękę, w której trzymał kubek z dymiącą kawą. – Masz, napij się.

Evan, z wahaniem, przyjął kubek.

– A więc...? – Jacob nie dawał za wygraną.

– Powiedziałem ci, bracie, nie wtrącaj się – powtórzył półgłosem Evan.

– Czy ja wiem... – Jacob się zastanowił. – Gdyby rzecz nie dotyczyła najlepszej przyjaciółki Clair, pewnie dałbym ci spokój. W tym wypadku jednak nie umiem być obojętny. Chodzi o reputację Marcy.

Coś w tym jest, przyznał w myślach Evan.

– No dobra. – Pociągnął łyk kawy z kubka. – To co chciałbyś wiedzieć? Lubimy się z Marcy. – Wzruszył ramionami. – To jest świetna dziewczyna.

– Może i świetna – Jacob skinął głową – ale i szczególnie wrażliwa.

– Myślisz, że nie wiem! – Evan przecesał palcami swą czuprynę. – I właśnie dlatego trzymałem ręce przy sobie aż dotąd. Ale ona sama tego chciała...

Jacob odchrząknął.

– Aha... Hm. No cóż! Oboje jesteście dorośli. – Skrzyżował ramiona na piersi. – Ale o jedno cię proszę, bądź z nią ostrożny.

– Jestem, jestem ostrożny – Evan wykonał niecierpliwy gest. – Byłaby ostatnim człowiekiem, którego mógłbym skrzywdzić... To jak, przesłuchanie skończone?

Jacob niezdecydowanie poruszył brwiami.

– W takim razie pozwolisz – Evan odstawił kubek – że wezmę się wreszcie do roboty.

Nie zdążył ruszyć z miejsca, gdy znalazł się przy nim James.

– Szefie, przepraszam. – Chłopak spuścił oczy. – Ale gdzie jest panna Marcy?

W pierwszej chwili Evan chciał wypalić: „A co cię to, gówniarzu, obchodzi!”. Jednak opanował się.

– Dlaczego cię to interesuje?

– No, bo był tutaj jakiś inspektor i właśnie pytał o pannę Pruitt.

– Inspektor? Co za inspektor?

– Taki wysoki gość, w okularach, w pilśniaku i z jakąś aktówką pod pachą. Powiedział, że jest z inspekcji budowlanej i że panna Marcy dzwoniła do niego w sprawie kodeksu pracy.

Evan spojrzał na Jacoba, który zrobił zdziwioną minę.

– Hej, bracie, wiesz coś o tym?

– Nic a nic. Ale ja się tu zjawiłem dopiero parę minut temu.

Evan był pewien, że Marcy nie mogła nigdzie dzwonić w sprawie kodeksu. No nie, co za bzdura. A wobec tego...

– Słuchaj – zwrócił się do Jamesa. – On na pewno pytał o Marcy Pruitt?

– No, chyba tak... – stropił się chłopak. – Tak mi się zdawało.

– A ty co mu odpowiedziałeś?

– Ja? – James uśmiechnął się nagle szeroko. – Ja mu powiedziałem, że jak żyję, nigdy nie słyszałem o kimś takim, o żadnej pannie Pruitt.

Dzięki Bogu! Evan odetchnął.

– I miałeś rację. Ale gdyby on tu się znowu kręcił, daj mi znać.

– Się wie! – James wetknął ręce do kieszeni swych farmerek. – No, ale szefie... to w końcu gdzie ona jest...?

Evan spojrzał na chłopaka, ściągając brwi.

– Słuchaj synku. Lepiej zabieraj stąd swój tyłek i ruszaj do roboty. Chyba że chcesz wylecieć z pracy.

– Ale...

– Nie ma „ale”! – warknął Evan.

– Tak jest. – Chłopak zwiesił głowę i zaczął się wycofywać.

Jacob posłał bratu krzywy uśmiech.

– Bardzoś to subtelnie załatwił – powiedział.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

– Lepiej powiedz Tomowi – Evan zaczął odpinać dopiero co przypięty pas monterski – że muszę gdzieś wyskoczyć na chwilę. A sam popilnuj placu.

Cholera! Przydybałby tego pseudoinspektora, gdyby tak późno nie wstał. Evan prawie pędem ruszył do holu windowego. A jak by go przydybał, to by mu coś wytłumaczył... Może nawet na migi. Z uszczerbkiem dla uzębienia tego typka.

Teraz jednak pora skupić się raczej na Marcy niż na uzębieniu jakiegoś tam faceta. Evan, wsiadając do windy, zerknął na zegarek. Miał nadzieję, że uda mu się zastać rozkoszną pannę Pruitt wciąż jeszcze w pościeli, może nawet śpiącą.

Ponownie zerknął na zegarek: no właśnie, dlaczego Marcy nie miałyby wciąż jeszcze smacznie spać?

Kawiarnia na dole Four Winds urządzona była z tą samą swobodną elegancją, co reszta hotelu. I tu ściany wyłożono lustrami, w boksach ustawiono miękkie, skórzane kanapy, całość zaś ozdobiono żywą roślinnością.

Mimo wczesnej godziny kilka stolików było już zajętych przez gości hotelowych, jednak nikt nie zwracał uwagi na Marcy, która szła za

sympatyczną, szpakowatą hostessą, prowadzona do boksu, w którym czekała na nią Clair.

Jak przyjemnie, myślała sobie Marcy, nie być przez nikogo niepowołanego poznawaną. Zerkał na nią tylko sponad gazety jakiś przystojny mężczyzna, który zaraz jednak wrócił do swej lektury.

Marcy czuła się niewyspana, niemniej wesoła jak skowronek. Gdyby dokoła było pusto, podskakiwałaby na jednej nodze niczym dziewczynka. Siłą przymuszała się do właściwego swemu wiekowi zachowania.

Rozjaśniła się na widok Clair.

– Dzięki, że zechciałaś się ze mną widzieć.

– Co za „dzięki”? – Clair przesunęła po blacie stolika w stronę Marcy filiżankę kawy. – Nie żartuj! Jacob ledwie mnie powstrzymał przed zadzwonieniem do ciebie już o szóstej rano... Hej, ślicznie wyglądasz! – Clair przekrzywiła głowę. – I ta fryzura... Świetnie się ostrzygłaś.

Marcy dotknęła swoich włosów końcami palców. Czuła się trochę ulizana, ale to dlatego, że nie zdążyła wysuszyć włosów po wyjściu spod prysznic. Zdążyła za to pociągnąć wargi szminką, czego nigdy przedtem nie robiła, i nawet położyć cienie na powiekach.

Kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrzanej ścianie kawiarni, doznała wrażenia, że znowu sama nie poznaje swojej twarzy.

– Cóż, wypadnie popracować nad przywyknięciem do nowej siebie – westchnęła. – A wiesz, ten twój personel z salonu piękności to prawdziwi magicy.

– Owszem, są niezli. – Clair skinęła głową. – Ale rozstrzyga zawsze to, czy trafi im się utalentowany klient.

– Uśmiechnęła się. – No, ale powiedz: nie żal ci tego, że porzuciłaś swój dawny image, wart zdaje się, czy ja wiem... jakieś miliony?

– Hm. – Marcy znów zerknęła ku lustrzanej ścianie.

– Włosy wkrótce odrosną... – Sięgnęła po kartę dań. Po czym wzruszyła ramionami. – Wiesz, byłam już zmęczona tym ciągłym ukrywaniem się. Myślę, że jeśli Jacob i Evan nie rozpoznali mnie wczoraj, to i nikt inny mnie nie pozna.

Clair sceptycznie popatrzyła na przyjaciółkę.

– Więc to z tego powodu? Jesteś pewna?

Marcy bez okularów przysunęła sobie menu prawie do nosa.

– Oczywiście.

– Ejże. – Clair odsunęła czubkiem palca jadłospis na bok. – Wybacz, skarbie, ale chyba nie umiesz kłamać. A ja nie jestem ślepa. Widziałam, jak na ciebie wczoraj patrzył Evan, kiedy wyciągał cię z pubu. Upierasz się, że to bez związku z nim, ta twoja przemiana?

Marcy zacisnęła palce na menu. Dlaczego sądziła, że ukryje prawdę przed Clair, jeśli przejrzał jej zamiary nawet Sam?

Nabrała w płuca dużo powietrza. Raz kozie śmierć.

– No dobrze. To powiem ci, że... spałam dziś z Evanem.

– O! To jest coś! – ucieszyła się Clair. – Zresztą, mogłabyś mi nic nie mówić, a i tak masz to wszystko wypisane na twarzy.

Marcy zagryzła dolną wargę. Nagle wydało jej się, że wszyscy na nią patrzą. Zerknęła na lewo, potem na prawo. Ale nikt nie patrzył. Nawet ten dziwny nieznajomy, co jako jedyny czytał tu gazetę... W tej chwili mężczyzna ów poruszył się i obrzucił badawczym spojrzeniem wysoką blondynkę, która stała w drzwiach kawiarni.

– Co to znaczy, że „mam wypisane na twarzy”? – zapytała.

– Kochanie, cała promieniejesz, a kiedy szłaś tutaj przed chwilę przez salę wyglądałaś tak, jakbyś gotowa była przycisnąć do serca każdego człowieka na świecie.

Marcy uśmiechnęła się. Bystra dziewczyna z tej Clair.

– Racja – przyznała. – Tak się właśnie czułam. I wcale to nie minęło. Właściwie cały czas chce mi się skakać do góry.

– Skakać? – Clair uniosła jedną brew. – No, wierzę, wierzę... Tak to właśnie bywa. Teraz rozmawiamy poważnie.

– Zaraz poważnie... – Marcy skrzywiła się. – To wszystko wcale nie było takie poważne. W końcu to tylko zwykły seks.

Clair sięgnęła po dzbanek i dołała sobie kawy.

– Zwykły seks, powiadasz? Chyba sama w to nie wierzysz.

– A w co mam wierzyć? – Marcy spuściła oczy.

Pomyślała, że musi się trzymać takiej wersji, bo w przeciwnym razie natychmiast straci Evana. Na byle sugestię o trwałszym związku wskoczy przecież do swej półciężarówki i zniknie jej na zawsze z oczu.

Clair pokiwała głową.

– W końcu nie wiem, czy ty się cieszysz, czy rozpaczasz.

Marcy zmusiła się do uśmiechu.

– No właśnie, próbuję to sobie w całości przemyśleć... Ale co by się nie stało – westchnęła – na pewno zbudujemy z Evanem dla ciebie tę kaplicę. Niewiele tam już brakuje. Zaplanowałam dekorację roślinną i nawet już zamówiłam. .. A Evan zdobył taki śliczny witraż, z różyczkami.

– Marcy! – Clair spokojnie, ale stanowczo przerwała ten potok słów. – Dosyć! Ja się o kaplicę nie martwię. Ja się martwię o ciebie.

– O mnie? Dlaczego?

– Bo nie chcę, kochanie, żeby cię zraniono.

– Ależ...! – Marcy zrobiła minę dzielnej kobiety. – Nic takiego się nie stanie. My z Evanem jesteśmy i pozostaniemy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi. – Clair odchyliła się w krzesło. – Akurat tego byś chciała?

– Sama nie wiem. – Marcy uniosła dłoń do włosów. – Ale – wzruszyła ramionami – kto nie ryzykuje, ten nie żyje... Ty też – zajrzała Clair w oczy – zaryzykowałeś kiedyś, uciekając od ołtarza, prawda?... A gdybyś wiedziała, że sprawy z Jacobem nie skończą się tak dobrze jak w rzeczywistości, czy działałabyś inaczej?

Clair wzruszyła ramionami. Po chwili zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, niczego bym nie zmieniła.

– No widzisz! – Marcy wyciągnęła rękę i nakryła dłoń przyjaciółki. – Ale teraz... teraz może zamówiłybyśmy już coś do zjedzenia? Okropnie zgłodniałam. Czy wiesz, że samo całowanie, trwające pół godziny, kosztuje organizm dwadzieścia osiem kalorii, nie mówiąc o...

– Kurczę, Marcy, gdzie ty się podziewasz?

Pograżona w rozmowie z Clair nie zauważyła, że do kawiarni wszedł Evan. Stał teraz przy nich, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i ze ściągniętymi brwiami.

– Jak to, gdzie się podziewam! – Marcy nie była zachwycona tonem Evana. – Podziewam się tu, gdzie mnie widzisz.

– Miałaś przecież spać – stwierdził z naciskiem. – Czemu mi nie powiedziałaś, że dokądś się wybierasz?

Zmarszczyła czoło.

– A powinnam?

– No, raczej tak... – Evan opadł na jedno z wolnych krzeseł. – Cześć, Clair, dzień dobry.

– Witaj, Evan. – Clair odchrząknęła, następnie odsunęła swoją filiżankę. – Ja chyba już stąd pójdę... Praca czeka.

Pokręcił głową z zasepionym obliczem.

– Nie, zostań.

Marcy uderzyło to, że Evan nie jest zagniewany, tylko zatroskany.

– A właściwie w czym problem? – zapytała.

– No, właściwie to nie jestem pewien... – Sięgnął po jej filiżankę i wypił łyk kawy. – Czy ty dzwoniłaś w tych dniach do inspekcji budowlanej i prosiłaś ich o coś?

Marcy zastanowiła się.

– Nie, raczej nie dzwoniłam... Choć nie wykluczam, że z kimś z inspekcji mogłam się zetknąć na samej budowie. A dlaczego pytasz?

– Bo James rozmawiał dziś rano z jakimś facetem, który twierdzi, że dzwoniłaś. – Spojrzał na Clair. – Mam nadzieję, że twoi ochroniarze mają tutaj oko na obcych?

Clair skinęła głową.

– Oczywiście. Tak jak mówiliśmy. – Spojrzała na zegarek. – No, ale ja chyba naprawdę muszę iść. Przy okazji zajrzę do recepcji i sprawdzę, czy ktoś z Los Angeles nie wpisał się do księgi gości. I czy nie wypytywał o Marcy.

– O, to dobra myśl – pochwalił Evan. – Ale wiesz co... Gdyby się ktoś taki już zorientował, że Marcy mieszka w Four Winds, mogłabyś jej dać teraz przynajmniej inny pokój. I w ogóle najlepiej, żeby się przeprowadziła do mnie.

– Co?! – Marcy aż podskoczyła na kanapce. – Tego już za wiele! Oboje przesadzacie.

Clair z Evanem nic nie odrzekli, tylko popatrzyli na nią zafrasowani.

Marcy przełknęła ślinę, po czym objęła się ramionami.

– Nie będę się nigdzie przenosić. Oboje wiecie, że w nowym wcieleniu jestem nie do rozpoznania.

– Hm, niby tak... – W głosie Clair było wahanie. Evan skrzywił się.

– A nawet jeśli... Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wolę, żeby się Marcy przeniosła.

– Ty wolisz! – Marcy zacisnęła usta, unosząc wysoko brwi. – Mnie jakoś nikt nie pyta o zdanie.

Evan skrzywił się jeszcze bardziej.

– No dobra. A więc co ty o tym sądzisz?

Wyjęła z jego rąk swoją filiżankę, umoczyła usta w kawie i zerknęła na Clair. – Ja?... No dobra, w porządku, mogę się przenieść. Choćby zaraz. To znaczy po śniadaniu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Droga Marcy!

Ratuj! Za dużo tych wszystkich dodatków do upinania włosów na ślub. Szpilki, wsuwki, grzebyki, koraliki, diademy, szpile jubilerskie, opaski, klipsy. Wiem, że to sprawa indywidualna, ale ja po prostu nie mogą się zdecydować. Czy mogłabyś mi jakoś pomóc?

Arlene z Alabamy

Kiedy stan surowy kaplicy można było uznać za osiągnięty, Evan ogłosił fajrant. Stało się to jeszcze przed końcem dnia. Gdyby takie tempo robót udało się utrzymać, na początku przyszłego tygodnia można by przystąpić do prac wykończeniowych.

Evan pozbył się swego pasa monterskiego i zdjął kombinezon. Jego myśli, uwolnione od spraw zawodowych, natychmiast poszybowały w stronę Marcy. Bardzo dobrze, że zgodziła się wynieść ze swego pokoju. Jeśli śledzi ją jakiś detektyw, mógłby uznać, że panna Pruitt w ogóle wyprowadziła się z hotelu Four Winds. O ile oczywiście udałoby mu się ustalić, że przeistoczona Marcy to panna Pruitt.

Swoją drogą, Jacob ma rację. Ta dziewczyna jest istotą wrażliwą i należy z nią postępować tym ostrożniej, im ma się ją przy sobie bliżej.

Do licha. Evan, naciskając guzik windy, pomyślał, że właściwie nie przeanalizował wszystkich aspektów zaproszenia, jakie teraz złożył Marcy... Może postąpił zbyt pochopnie? Owszem, niby oswoili się już ze sobą, spali razem, ale teraz będą... Podrapał się w głowę. Niestety, czasem człowiek działa zbyt impulsywnie.

Wysiadł z windy i skierował się do swego apartamentu. Otworzył drzwi kartą elektroniczną i od razu na progu musiał się uśmiechnąć. Usłyszał z sypialni nucenie Marcy.

Stanął w drzwiach. Marcy, zaaferowana, nie zauważyła go. Podśpiewywała, rozpakowując jakieś zakupy. Po chwili podeszła do lustra, narzucając na ramiona różowy peniuarek. Poza tym była tylko w nocnej koszuli. Evan przełknął ślinę, widząc pod półprzejrystą tkaniną zarysy ud i krągłych bioder. A cóż ta Marcy nuci? Nadstawił ucha. „Nie będę tego nigdy miała, nie będę miała...”.

– Czego nie będziesz miała?

Kładąc rękę na szyi, Marcy odwróciła się.

– Evan!

Oparł się ramieniem o framugę.

– Ładne wdzianko.

– Dzięki. – Jej policzki zaróżowiły się, osiągając barwę nieco intensywniejszą niż kolor peniuaru. – Nie słyszałam, kiedy wszedłeś.

– Kiedy? Przed sekundą. – Dobry Boże, pięknie jej w tych różowościach, pomyślał. Gdyby nie miał takich brudnych rąk po pracy, zaraz by coś zrobił. – Widzę, że byłaś na zakupach?

– A byłam. To znaczy byłyśmy. Clair oprowadziła mnie trochę po centrum Wolf River.

Skinął głową.

– Zdaje się, że wyjedziesz stąd z jakąś dodatkową walizą.

– Może. – Popatrzyła na to, co leżało porozrzucone na łóżku. – Albo... – zawahała się – pozbędę się swoich dawnych rzeczy, z którymi tu przyjechałam.

– Naprawdę? – Splótł ramiona na piersi. – A więc chciałabyś już pozostać przy tym nowym wcieleniu Marcy?

– Właśnie się nad tym zastanawiam... – Spojrzała do lustra, a potem znów na Evana. – A ty jak byś to widział?

Uśmiechnął się. „Jak byś to widział”. Cóż, wszystko, co, na przykład, w tej chwili widzi, jest bardzo, ale to bardzo apetyczne.

– Czekasz z mojej strony na jakąś zachętę? Czy komplementy?

– Może i na to, i na to.

Zastanowił go uśmiezek zaczajony w kącikach jej ust. Ależ tak: przecież Marcy potrafi być... potrafi być uwodzicielska.

No i bardzo dobrze.

Ruszył w jej stronę i sięgnął po gładką i miękką dłoń Marcy.

– Chcesz wiedzieć, co myślę? – Przyłożył jej rękę do swojej piersi. – To właśnie robisz ze mną, kiedy na ciebie patrzę. Czujesz? Właśnie to.

Jego serce uderzało pod jej palcami niczym werbel. Marcy zagryzła dolną wargę i spuściła oczy.

– Mnie się robi to samo przy tobie... Evan przysunął się jeszcze bliżej.

– Marcy, powiedziałem ci wczoraj prawdę – zamruczał. – Podbiłaś mnie od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. – Byłaś taka śliczna w tym swoim śmiesznym kapeluszu. I tak sprytnie rozmawiałaś ze swoimi fankami; podziwiałem cię.

Spojrzała na niego z mieszaniną zdziwienia i rozbawienia w ciemnozielonych oczach.

– Ja... ja nawet nie będę udawała, że wiem, co ci odpowiedzieć.

– Nie musisz nic mówić. – Przycisnął usta do jej nadgarstka i poczuł, że jej serce bije gwałtownie. – Postój tutaj przez chwilę, dobrze? A ja postaram się wziąć najszybszy prysznic na świecie.

– Uhm – zamruczała.

Ruszył w stronę łazienki, lecz po paru krokach zawrócił.

– Rozmyśliłem się – powiedział, chwytając na powrót rękę Marcy. – Lepszy będzie wspólny, długi prysznic. Chodź.

W jakiś czas potem, gdy leżeli już w jego łóżku zupełnie wyczerpani, Evan uzmysłowił sobie, że zapomniał całkiem o rozmowie, którą chciał przeprowadzić z Marcy. Miała być o tym, że przeprowadzka do niego nie jest obowiązkowa, że to tylko zaproszenie, które nie powinno skomplikować ich wzajemnych stosunków. No i że Marcy nie ma się co obawiać, iż on mógłby ją w jakikolwiek sposób skrzywdzić.

Teraz jest za późno, aby wracać do tej sprawy, uznał. Tak czy owak są już ze sobą, a czy to skomplikuje ich wzajemne relacje – czas pokaże.

Wciąż nie zamierzał jej, oczywiście, zranić ani skrzywdzić samego siebie. Udało mu się jak dotąd uniknąć jakichkolwiek deklaracji. No cóż, oboje są dorośli, coś ich do siebie ciągnie, czemu postanowili się oboje nie opierać, i tak jest dobrze.

A dalej...? Dalej, przez następne dwa tygodnie, mogłoby być identycznie, pomyślał Evan, obejmując ramieniem senną Marcy.

Ona wtuliła się w niego, kładąc głowę na jego piersi i przymykając oczy.

Evan zaniknął oczu i uśmiechnął się do siebie. No właśnie... Dlaczego nie? Niech dalej będzie tak jak jest.

Dlaczego nie?

– Moje dziecko, moje śliczne dziecko. – Josphine Beauchamp uformowała ostatnią fałdkę w welonie córki, po czym uczyniła krok do tyłu i złożyła dłonie na swej piersi. – Czy nie jest to najładniejsza panna młoda, jaką kiedykolwiek widziałas?

– Mamo, proszę cię, dosyć – poskarżyła się Clair. – Pytałaś o to Marcy już dziesięć razy.

– Pięknie wygląda – zgodziła się Marcy, potwierdzając oczywistą prawdę. Z włosami skręconymi w loki i w sukni naszywanej perłami, z dekoltem wyciętym w kształt serca, Clair była jak jakaś anielska zjawa. – Ty zresztą też, Josephine, wyglądasz znakomicie.

Przybrana matka Clair w istocie robiła wrażenie. Skończyła pięćdziesiąt lat, ale wyglądała najwyżej na czterdzieści, a figurę miała jeszcze młodszą. Jej regularne rysy, z wysokimi kośćmi policzkowymi i żywymi, ciemnoniebieskimi oczami, przyciągały uwagę i czyniły ją niemal siostrą własnej córki, a nie matką.

– Dzięki, Marcy. Tobie też nic nie brakuje. – Josephine dotknęła policzka Marcy i uśmiechnęła się. – Urodziwa z ciebie panna.

Kiedy Josephine wróciła do zabiegów wokół welonu Clair, Marcy się odprężyła. Ciągłe czuła się niezręcznie, słysząc komplementy. Zresztą sporo się ich nasłuchiwała w ciągu ostatnich dni. I owszem, sprawiały jej radość, ale było w nich też coś dwuznacznego. Bo należały się jej, czy też tym sztuczkom, wyczarowanym w salonie piękności?

Kiedy pierwszy raz pokazała się na budowie, brygada Evana osłupiała. Przecierano oczy, ktoś gwizdnął, a ktoś inny zaczął bić brawo. Braw było więcej, ale Evan i tak zaraz podniósł głos i zaczął gonić wszystkich do roboty. Nikt już nie mógł mieć wątpliwości, że tak emocjonalna reakcja ich szefa może być spowodowana wyłącznie tym, iż ci dwoje stali się parą: on i Marcy.

Jej samej raczej nie przeszkadzało, że wszyscy odgadli, co ją łączy z Evanem. Nie wstydziła się ani nie czuła się tym zakłopotana. Przeciwnie, była raczej szczęśliwa.

Bo też już beznadziejnie się zakochała.

Zapewne można by nadal trzymać uczucia na wodzy. Starła się je nawet powściągać, również po tym, gdy zaczęli ze sobą sypiać. Samej sobie przemawiała do rozumu... Niestety, czasem serce bierze górę nad rozumem.

I w jej przypadku właśnie wzięło. A jakie będą tego koszty? O to Marcy wołała się na razie nie martwić.

Bo po pierwsze: jutro po południu będzie już w samolocie do Los Angeles. A pojutrze pójdzie do pracy.

Powróci do rzeczywistości. Do realnego życia.

Ale jeśli bycie z Evanem, a także zabawa w projektowanie i budowanie, rozmowy, śmiechy, a choćby i wspólne siedzenie przed telewizorem – jeśli to wszystko nie należało do realnego życia, to dlaczego wizja końca tego wszystkiego zaczęła ją nagle boleć?

Dziś jednak to jeszcze nie pora na tego rodzaju myśli. Ten dzień należał do Clair i Jacoba. Jest więc raczej pora na to, żeby się nimi i razem z nimi cieszyć. W ogóle warto wyczerpać szczęście do końca, do ostatniego epizodu.

Zapukano do drzwi, które zaraz się uchyliły. Ukazała się w nich głowa Julianny.

– No i jak? Jesteście gotowe? Clair... – Julianna uśmiechnęła się. – Wszyscy czekamy.

– Już, już! – Clair rozejrzała się za swym bukietem. – Idziemy. Pora otworzyć nowy rozdział życia... Prawda? Już pora na to.

Grał kwartet smyczkowy, a Evan, popatrując na gości, stał w progu kaplicy i zaciskał szczęki. Starł się opanować zniecierpliwienie człowieka wbitego w sztywny garnitur, strój, do którego stanowczo nie nawykł.

Po lewej ręce miał Randa, Seta i Lucasa w roli drużbów, po prawej zaś samego pana młodego. Jacob miał bardzo oficjalną minę; widać było, że traktuje dzień swojego ślubu z należytą powagą.

Prace konstrukcyjne przy kaplicy ukończone zostały z odpowiednim wyprzedzeniem, tak że Marcy miała wystarczająco wiele czasu na wszystko, co sobie zamierzyła: na zaaranżowanie zieleni, urządzenie małego wodotrysku, nawet na sprowadzenie paru dębowych ławek z pewnego nieczynnego już kościoła. Także stamtąd wypożyczono półtorametrowego anioła – statuę wykonaną z brązu. Evan uśmiechnął się: miejsce celebry weselnej zrobiło się takie ładne, że gotów byłby sam wziąć w swojej kaplicy ślub.

Oczywiście o ile by go w ogóle brał – na co w najbliższej przyszłości zdecydowanie się nie zanosilo.

Poruszył głową, starając się uwolnić szyję od ucisku krawata. Znów rozejrzał się dookoła, lustrując gości. Od czasu tamtego incydentu z „inspektorem budowlanym” nikt niepowołany nie kręcił się już po hotelu. Niemniej Evanowi weszło w nawyk baczne przyglądanie się wszystkim, których nie znał, a którzy mogliby stanowić zagrożenie dla Marcy.

Moja Marcy! pomyślał. I zaraz się zreflektował: Moja...? Cóż, sprawy między nimi pokomplikowały się. Nie robili sobie nawzajem wyznań, niemniej Evan czuł, że nie będzie im łatwo rozstać ze sobą. Mowę słów zastępowały gesty, a z nich wynikało, że oboje prawie się ze sobą zrośli.

Poczuł się nagle poirytowany. Do diabła, a więc Marcy jutro odlatuje... Nie poprosiła go nawet, żeby ją odwiózł na lotnisko! Sam jej też tego nie zaproponował. A właściwie dlaczego?

Być może dlatego, że wcale nie chciał, żeby Marcy stąd odjeżdżała.

No tak, ale można nie chcieć wielu rzeczy. Tymczasem życie ma swoje wymagania. Życie Marcy toczy się w Los Angeles. Jego życie potoczy się najpóźniej we wtorek w kabinie półciężarówki ku nowym placom budowy, zgodnie z zaciągniętymi zobowiązaniami.

Żał będzie żegnać tę piękną Marcy. Coś ściska go w gardle. Nie tylko krawat ciśnie. Ale co robić: życie jest życiem!

Trzeba do tego podejść po męsku, zdecydował Evan. Nie roztkliwiać się. Do licha, przecież będzie umiał powiedzieć „do widzenia” tej kobiecie, jak tylu innym.

Owszem, będzie umiał. Całe szczęście, że nie musi tego zrobić dziś.

Kwartet zaczął grać „Muzykę na wodzie” Haendla. Evan przypomniał sobie, że według scenariusza jest to sygnał do pojawienia się panny młodej i jej druhen w kaplicy. Ale cóż tam panna młoda... Jego myśli skupione były wyłącznie na Marcy. Widział ją w wyobraźni we wczorajszym różowym peniuarku. I widział siebie, jak zdejmuje z niej wszystko pod prysznicem. Kontynuował swoją wizję: wracają do łóżka i kochają się, robią to wiele razy, do nasycenia. Boże, jakie życie może być miłe.

Zamrugnął oczami. Jezus, Maria, co mu przychodzi do głowy! Snuje fantazje erotyczne, stojąc wśród półtorej setki osób zaproszonych na ślub Clair i Jacoba.

Na szczęście wszystkie twarze zwrócone były ku wejściu, w którym pojawiła się wreszcie Julianna, a zaraz za nią Grace i Hannah. Wszystkie miały na sobie błękitne suknie, a w dłoniach – bukiety białych róż.

Piękne są te kobiety Blackhawków, pomyślał Evan.

Za nimi weszła do kaplicy Marcy. Też miała białe róże i błękitną suknię. Evan wstrzymał oddech: ponieważ Marcy była tutaj na pewno najpiękniejsza ze wszystkich.

Poczuł, że potrzebuje powietrza. Strasznie cisnął go krawat. Zrobiło mu się mdło, prawie słabo. Był pewien, że gdyby ktoś go teraz pchnął lekko jednym palcem, przewróciłby się na plecy.

A Marcy szła nawą prosto w jego stronę. I uśmiechnęła się do niego. Po czym skreśliła jednak wraz z resztą druhen ku ławkom, gdzie wraz z nimi usiadła.

Kwartet zagrał marsza weselnego. I wtedy pojawiła się Clair.

Jest śliczna, uznał Evan, w tej białej sukni obszywanej perłami, ale nie tak piękna jak Marcy...

Był to oczywiście jego subiektywny pogląd. Natomiast Jacob stojący obok niego cały się rozjaśnił i oczy mu powilgotniały. Wzruszył się. Evan zaś poruszony wzruszeniem brata poczuł, że ma także wilgotne oczy.

I nie wiadomo, czy tylko z powodu szczęścia brata... Evan poczuł się nagle bardzo samotny. Brat odchodzi z jego życia, ten, z którym wiązały go tak długo sieroce lata. Jacob będzie miał teraz kogo kochać, będzie miał rodzinę, a on...

Spojrzał na Marcy. I jeszcze bardziej się nachmurzył. Już jutro się z nią pożegna...

Co tu zrobić, zacznaj gorączkowo myśleć, co robić? Co postanowić, jaką podjąć próbę, jaką decyzję?

Sala balowa hotelu Four Winds wypełniona była rojem gości. Lśniły kandelabry, lśniły srebra na stołach i szkła. Grała muzyka. Lał się strumieniami szampan.

Marcy obserwowała tańczących Clair i Jacoba. Wydawali się tacy zakochani!... Ona też była zakochana. A co czuje względem niej Evan? Nigdy jej tego nie powiedział.

Przed chwilą Evan zadziwił wszystkich, porwawszy do tańca malutką córeczkę Julianny i Lucasa. Wirował z tym maleństwem na rękach. Maleństwo zaśmiewało się. Marcy też musiała się uśmiechnąć, nawet jeśli w głębi serca czuła smutek.

Cóż, poradzę sobie jakoś, pomyślała. Zakocham się w kimś innym, kiedyś... Może się tak zdarzyć.

Kiedyś, być może – w innym życiu.

Postarała się odsunąć od siebie złe myśli. Po co martwić się na zapas? Na takie rzeczy zawsze jeszcze będzie czas. Dużo, za dużo czasu.

– Zdaje się – odezwał się Rand, przechodzący w pobliżu – że w tej sali panuje zakaz nietańczenia.

– Nietańczenia?

– Tak w każdym razie mówi moja żona. – Rand zatrzymał się i przysiadł na wolnym krześle.

– Ale ty sam jakoś nie tańczysz?

– Mnie chłopaki posłali, żebym im przyniósł piwa. Może i ty miałabyś jakieś zamówienie?

– Nie, dziękuję. – Marcy pokazała swój kieliszek z niedopitym jeszcze szampanem. – Nic mi nie brakuje.

Najwyraźniej nie spiesząc się z wypełnieniem piwnej misji, Rand wygodniej umieścił się w krześle.

– Słyszałem, że jutro wracasz do Los Angeles? Skinęła głową.

– No tak. Moja szefowa odchodzi już od zmysłów. Muszę wrócić punktualnie.

– Przysłałabyś ją do nas. – Rand uśmiechnął się. – Nic tak dobrze nie robi na nerwy jak robota w stajni. Albo rajd w siodle.

Marcy wyobraziła sobie nagle Helen Dunbar z widłami w garści i musiała się roześmiać. Wątpliwe też, żeby elegancka Helen, zawsze w kostiumie i w pantoflach na obcasach, zechciała wsiąść na konia.

– Przekażę mojej szefowej twoją ofertę – powiedziała. – Ale wątpię w jej skuteczność.

– Przekaż. – Rand zaplótł ręce na karku, swobodnie wyciągając przed siebie długie nogi. – A przy okazji: coś mi się nie wydaje, żeby twoja szefowa rzeczywiście nasłała na ciebie detektywa.

Marcy wzruszyła ramionami.

– Tak myślisz? Może masz rację... Moja asystentka, Anna, powiedziała mi przedwczoraj, że mogła się w tej sprawie przesłyszeć. Przyjaciel Jacoba w L.A. także w końcu nic nie wykrył... – Marcy przerwała, zauważywszy, że Evan zaprasza do tańca kolejne maluchy z rodziny. – Co to ja mówiłam? Aha! A jeśli nawet kogoś nasłała, to nic nie wskórała... Zresztą wszystko to jest już nieaktualne, bo pojutrze stawiam się dobrowolnie do pracy.

Rand pokazał głową Evana.

– Niezły jest, co? A przy okazji: jak ci się podobał ten jego toast na cześć Jacoba?

– Dowcipny był – przyznała Marcy.

Evan rozśmieszył wszystkich, gdy zwrócił się do byłych dziewczyn brata, „jeśli tutaj są”, aby pooddawały klucze do jego apartamentu, bo nie będą im już potrzebne. Na to zgłosiło się od razu co najmniej dziesięć pań, w tym kilka kelnerek oraz matka Clair, każda z jakimiś kluczami w rękę. Potem Evan uściskał Clair, witając ją „w rodzie Carverów”.

Oczywiście toast Evana nie był jedyny tego wieczoru.

– Tobie, Rand, też niezłe poszło – uśmiechnęła się Marcy. – Parę osób wzruszyłeś do łez.

– Ba, sam się też wzruszyłem. – Rand poruszył brwiami. – Ale jeśli komuś to wyjawisz, zaprzeczę!

Marcy skinęła głową. W istocie ani jedno oko pod tym dachem nie pozostało suche, gdy Rand zadzwonił w swój kieliszek i powiedział, że, co prawda, ich siostra wychodzi za męża, ale dla nich na zawsze pozostanie małą, kochaną siostrzyczką. Łączy ich bowiem miłość zaszczerpiona przez rodziców, którzy tak wcześnie odeszli. Oni odeszli, ale ich miłość nie odeszła, wszyscy ją czują i to ona właśnie, po latach sprawiła, że rodzeństwo mogło się połączyć.

Takiej właśnie miłości bym chciała, pomyślała Marcy.

Pragnęła uczucia, które pomaga przetrwać każdy cios... Popatrzyła w stronę Evana i zdała sobie sprawę, że ma w sobie taką miłość. Problem polega na tym, że człowiek, którego kocha, zapewne tej miłości nie odwzajemnia.

Rand odchrząknął.

– No, pójdę chyba po to piwo, bo chłopaki mnie przeklną. – Podniósł się i cmoknął Marcy w policzek. – Ty na pewno niczego nie potrzebujesz?

Evana, taka była jej pierwsza myśl. Uśmiechnęła się jednak i pokręciła głową.

Kiedy odszedł, zrzuciła z nóg swoje nowe sandałki. Dopiła szampana i zaczęła się rozglądać po sali. Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby aranżacja tejże, gdyby odbywało się tutaj jej wesele. Zapewne byłoby dużo wszelkich różowości: mnóstwo róż, setki róż. A na deser – na przykład tort malinowy. I grałby jakiś zespół jazzowy, repertuar od Glenna Millera do Herbie Hancocka. Suknię zaś miałyby Marcy z organzyny obszywaną satynowymi wstążkami.

A na głowie? Na głowie oczywiście diadem. Która dziewczyna nie marzy o diademie na głowie w dniu ślubu?

Z owego snu na jawie wyrwało Marcy nagłe pojawienie się trzech małych dziewczynek, które obstały jej krzesło i zaczęły ją ciągnąć do tańca. Dołączył do nich Evan, ni stąd ni zowąd składając na ustach Marcy ognisty pocałunek.

– Co robisz! – gwałtownie zaprotestowała, zezując ku dziewczynkom.

Trzy małe gracje zachichotały.

– Mam od nich specjalne pozwolenie. – Evan puścił oko do dziewcząt.

– No chodź, pokręcimy się trochę na parkiecie.

Marcy wstała, robiąc palcem znaczące kółko na czole. Dziewczynki znów zachichotały i wszystkie trzy odbiegły.

Rodzaj surowego jedwabiu, na osnowie z podwójnej nitki.

– Masz rację, jestem wariat. – Evan objął Marcy i od razu zaczął się razem z nią kołysać, w takt jakiegoś slow–foksa. – Szaleję za tobą.

Serce żywiej w niej zabiło, chociaż rozumiała, że „szaleć za kimś” stanowi tu zwrot niezobowiązujący. Jednak było jej przyjemnie, tak czy owak. Tańczyła ze swym ukochanym. I tańczyła bosy.

– Może już stąd pójdziemy – usłyszała jego szept tuż przy swoim uchu.

Uniosła głowę i spojrzała na Evana, dostrzegając w jego oczach pożądanie.

– Ale przyjęcie jeszcze się nie skończyło.

– Prawie się kończy. Chodźmy – nalegał. – Jeszcze jutro spotkamy Clair i Jacoba, zanim ty... – urwał. Potem przycisnął ją mocniej. – No chodź. Pójdziemy do mnie.

Zanim nie odjadę, dokończyła w myślach Marcy. Tak miał powiedzieć. Ale wolał urwać. Bo po co nazywać rzeczy po imieniu?

– Dobrze – zgodziła się. Spojrzała w stronę Jacoba i Clair, którzy zegnali właśnie parę jakichś starszych weselników. – Ty idź teraz, a ja za chwilę dołączę do ciebie w holu.

Wróciła do swego stolika po buty i torebkę. Potem ruszyła do wyjścia, ale w pół drogi zatrzymała się. Przyszło jej do głowy, żeby ostatni raz zerknąć na kaplicę, ich wspólne dzieło. Dzieło, a może raczej ich wspólne „dziecko”...?

Nie wiedziała, że na identyczny pomysł wpadł Evan.

Kiedy przekraczała próg przybytku tonącego teraz w mroku, on go właśnie opuszczał tylnym wyjściem. Posłyszawszy jej kroki, odwrócił się i zatrzymał.

I olśnił go widok kobiety w błękitnej sukni, stojącej w kręgu światła księżycowego, przefiltrowanego przez witraż. Wydała mu się jakąś nimfą, dobrą wróżką.

Coś ścisnęło go za gardło. Najchętniej porwałby teraz Marcy w ramiona. Ale coś kazało mu cicho, na palcach, wycofać się z kaplicy.

Na zewnątrz nabrał powietrza. Chwilę się zastanawiał, wzdychał, po czym ruszył do holu, aby poczekać tutaj na Marcy.

Następnego ranka budziła się bardzo powoli, niepewna, czy to już jawa, czy może tylko jakiś sen o tym, że się budzi.

Kiedy poczuła obok siebie poruszenie Evana, otworzyła oczy.

– Która godzina? – zapytała. On przygarnął ją do siebie.

– Witaj maleńka! Szósta trzydzieści.

Przytuliła się do niego. Zamknęła znowu oczy, postanawiając dalej spać. Nie wypoczęła tej nocy – nie było kiedy. Robili we dwoje tyle różnych rzeczy...

Nagle dotarło do niej, że dzisiaj nie ma już czasu na sen. Właśnie nadszedł ten dzień, kiedy muszą się pożegnać. Niestety, trzeba będzie zaraz wstać i zacząć się pakować.

Jęknęła,

– A więc to już dziś.

Tak dziś. Odgadł jej myśli.

Objął ją mocniej i zaczął lekko kołysać.

Pocałowała go w ramię. Chciała mu powiedzieć, że bardzo go kocha, że przeżyła z nim tyle dobrego i że nigdy tego nie zapomni.

Ale nic nie powiedziała. Bo co by było, gdyby on coś takiego niewłaściwie odebrał?

Evan przeciągnął się.

– Dzwoniłem już do obsługi hotelowej... Jeszcze spałaś.

– Do obsługi? Po co?

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny. Za parę minut przyniosą nam śniadanie.

Skinęła głową.

– Uhm.

Evan puścił ją i zaczął się wygrzebywać z pościeli.

– Chodź – powiedział. – Weźmiemy razem prysznic. Jeszcze zdążymy.

Ponownie skinęła głową.

– Dobrze. Idź pierwszy, a ja zaraz dołączę. Kiedy zniknął w łazience, obróciła się na plecy.

O niczym nie myśleć, o niczym nie myśleć! Starła się trzymać w ryzach. Potem będzie na to wszystko czas. Na myślenie, na łzy, na żal.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Usiadła, zaskoczona. A więc już? Śniadanie? Sięgnęła po płaszcz kąpielowy, przerzucony przez krzesło. Szybko się ubrała i ruszyła do drzwi. Nacisnęła klamkę.

Kiedy ktoś błysnął jej w oczy fleszem, zamarła.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Droga Marcy!

Urządzam złote wesele swoim rodzicom i chciałabym sama zrobić zaproszenia. Ale nie wiem, jak się do tego zabrać; po prostu nie jestem zbyt pomysłowa. Czy mogłabyś mi jakoś pomóc?

Kathy z Aurory

Evan właśnie odkręcał prysznic, gdy usłyszał krzyk Marcy. Od razu złapał ręcznik kąpielowy i owijając się nim, wyskoczył z łazienki.

Kątem oka dostrzegł niskiego, łysiejącego faceta, który nie dawał się odepchnąć od drzwi i pstrykał zdjęcia.

– Wynoś się pan! – wołała Marcy. – Nie ma pan prawa!

W Evanie zawrzała krew. Rzucił się z pięściami na intruza.

– Nie rób tego! – Marcy przyskoczyła teraz do Evana.

Tamten gość skorzystał z zamieszania i ruszył korytarzem, biegnąc w stronę windy.

Evan wyrwał się i popędził w ślad za nim. Niestety, było za późno. Fotograf był już na końcu korytarza, już wskakiwał do dźwigu.

– O do diabła! – zaklął Evan, rozsierdzony jeszcze i tym, że tamten uśmiechnął się złośliwie zza szyby i pomachał mu ręką. No, przepadło, facet się wymknie; dźwigi są tu szybkobieżne.

Dopiero parę chwil potem Evan zdał sobie sprawę z tego, że w tej scenie wzięła udział pewna blondynka. I otóż ta dziewczyna, w szarych szortach džinsowych i białym topie, zdołała wetknąć stopę pomiędzy zamykające się połówki drzwi. Zadziałała fotokomórka; winda na powrót stała się dostępna. Blondynka wtargnęła do środka. Łysy oniemiał, tym bardziej, że dziewczyna wyszarpnęła mu kamerę.

Zaczaj z nią walczyć, ale okazało się, że nie ma szans, bo niewinne dziewczę sprytnym gestem wykręciło mu rękę tak, że mężczyzna przygiął się do ziemi.

Ona, uśmiechnawszy się do Evana, cisnęła w jego stronę aparat fotograficzny.

– Łap!

Chwycił kamerę, drugą ręką starając się podtrzymać zsuwający mu się z bioder ręcznik. Podbiegła Marcy.

– Nic ci nie jest, Evanie... – zatroskała się.

– Wszystko w porządku. – Otoczył ją ramieniem. – Ten bydlak – wskazał głową windę – chyba nie zrobił ci krzywdy?

– Nie. Trochę mnie tylko nastraszył.

– Nie macie prawa! – rozległ się zduszony protest z głębi windy. – Podam wasz hotel do są...

– Cicho, łobuzie. – Tajemnicza blondynka wzmocniła swój chwyt, zmuszając łysego aż do przyklęknięcia. – Słuchajcie – zwróciła się do Evana i Marcy. – Ja go odstawię, gdzie trzeba, a wy bądźcie tak dobrzy i przygotujcie mi u siebie małą kawę, dobrze? Musimy pogadać. Zjawię się za parę minut.

– Nazywam się Shelby Richards. – Dziewczyna sypnęła sobie do filiżanki czubatą łyżeczkę cukru. Trudno było dać wiarę, że to szczupłe stworzenie umiało przed kwadransiem obezwładnić nieźle zbudowanego łysego. – Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles.

Marcy gwałtownie zaczerpnęła powietrza i spojrzała na Evana. On, zaciskając szczęki, stał nieporuszony przy stole. Oboje zdołali nieco się ogarnąć, i to zanim obsługa hotelu dostarczyła śniadanie.

– A więc to prawda... – Marcy przycisnęła dłoń do piersi. – Helen
kazała mnie śledzić?

– No, niezupełnie. – Panna Shelby uniosła filiżankę do ust i
podmuchała na kawę.

– Co znaczy niezupełnie? – Evan skrzyżował ramiona na piersi.

– Wynajęła mnie, ale tak naprawdę to do ochrony Marcy. – Shelby
uśmiechnęła się. – Zwłaszcza przed niejakim Blanchardem.

– Arnie Blanchard? – Marcy zmarszczyła czoło. – Zaraz, zaraz... To ten
dziennikarz?

Evan odchrząknął.

– Kompletnie nie wiem, o czym mówicie. Czy zechciałybyście mnie
oświecić?

– Arnie uważa się za reportera. – Shelby sięgnęła do koszyka z
biskoptami. – Ale tak naprawdę jest zwykłym paparazzi. Pracuje dla
różnych tabloidów w Los Angeles. Ostatnio miał za zadanie zszargać opinię
Marcy w związku ze zbliżającym się debiutem jej audycji telewizyjnej.
Gdyby mu się udały dzisiejsze zdjęcia, miałby niezły materiał na coś w
rodzaju „Sekretnego życia panny Pruitt”...

Dobry Boże, pomyślała Marcy. Skąd się biorą na świecie tacy podli
ludzie?

– Czy on fotografował mnie tutaj od początku? – zapytała. – Od kiedy
jestem w Wolf River?

– No nie. – Shelby sięgnęła po kolejnego biskopta. – Tak się składa, że
przyjechał dopiero trzy dni temu. I nie od razu rozpracował swój obiekt.
Nowy image Marcy zmylił go... Jak i mnie wcześniej. – Znowu uśmiechnęła
się.

– Sukinsyn. – Evan zacisnął pięści. – Szkoda, że to nie na mnie trafił dzisiaj rano. Rozwaliłbym mu tę jego kamerę na łbie!

– Ależ Evanie... – zaprotestowała łagodnie Marcy.

– Cóż, tak czy owak jest już po wszystkim. – Blond detektyw popiła biszkopta kawą. – Ochrona hotelowa odstawi Blancharda do biura szeryfa, gdzie przetrzymają go, póki panna Pruitt nie wyjedzie z miasta.

Dopóki ja nie wyjadę... Marcy poczuła ucisk w sercu. No tak, przecież to są ostatnie chwile w Wolf River.

Podniosła głowę i zerknęła na Evana, który wciąż jeszcze nie usiadł, ignorując śniadanie na stole. Czy on też tak przeżywa ich rozstanie?... Nie mogła uchwycić jego spojrzenia.

Westchnęła. I w tym momencie nawiedziła ją kolejna myśl. Spojrzała podejrzliwie na Shelby Richards.

– Wybacz, Shelby... – zaczęła. – Ale wolę zapytać wprost: Helen przysłała cię tutaj rzeczywiście tylko w związku z Arniem czy...

– Tylko. Słowo harcerza! – Shelby podniosła dwa palce. – Ciebie z Evanem nie śledziłam... Bo o to pytasz, prawda? Twoja szefowa wyraźnie zaznaczyła, że „o życiu prywatnym Marcy nic nie chce wiedzieć”.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– A ten omlet...? – zagaiła znów detektyw Richards, wskazując puszysty złoty krążek, stygnący na półmisku. – Żadne z was nie ma, zdaje się, na niego ochoty.

– Jest twój. – Evan wykonał zapraszający gest. – I w ogóle proponuję, żebyś sobie zabrała całą tę tacę ze śniadaniem... Bo ty już zdaje się nas opuszczasz, prawda?

Chwyając aluzję, Shelby zaczęła się podnosić.

– No tak, moja misja jest już skończona. – Podniosła tacę, podziękowała uśmiechem, podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę łokciem.

Marcy pomachała jej ręką.

– Pa, Shelby! Może się jeszcze kiedyś spotkamy. Nauczyłabyś mnie wtedy zwłaszcza swoich chwytów rzucających facetów na kolana.

Wcale nie chciała, żeby te słowa zabrzmiały jakoś dwuznacznie. Ale zabrzmiały.

Evan udał, że tego nie usłyszał.

Kiedy Shelby wyszła, podrapał się w kark.

– No patrz, to ci sprytna sztuka. Mieszkała w hotelu tyle czasu razem z nami, a myśmy się na niej nie poznali... Czuję się teraz jak jakiś dureń.

– Nie przejmuj się. – Marcy uśmiechnęła się. – Wszystko teraz jest za nami.

Ledwie wyrzekła te słowa, a powróciły do niej zaraz końcowym echem: Wszystko jest za nami. Odwróciła głowę. Nie uśmiechała się już. Po chwili wstała i podeszła do okna.

– Wiesz – westchnęła, omiatając wzrokiem horyzont – ja chyba zacznę się pakować. A ty mógłbyś dokończyć kąpiel, którą przerwał ci ten paparazzi.

Evan ruszył w jej stronę. Objął ją, po czym zajrzał w oczy.

Była prawie pewna, że teraz się pocałują. Ale nie zrobili tego. On ją puścił.

– Dobrze. – Skinął głową. – Wezmę prysznic.

– To ja jeszcze zadzwonię do Helen. – Marcy sięgnęła po aparat, stojący na parapecie.

Evan patrzył na nią przez moment, po czym lekko się skrzywił.

– Do szefowej... Oj, niełatwe to twoje życie, panno Pruitt.

Porzuciłabym je dla ciebie, pomyślała.

I wiedziała, że naprawdę zrobiłaby to, gdyby ją poprosił. Ale on nie poprosi, a sama nie zamierzała się narzucać. Wszystko, co mogła, teraz zrobić to pokiwać głową, z pogodną miną i z postanowieniem, że nie rozpadnie się na kawałki na pięć minut przed pożegnaniem. Przed pożegnaniem z największą miłością swego życia.

Teksańskie popołudnie aż buzowało od rumoru spychaczy i betoniarek. W powietrzu unosiła się chmura pyłu, wzbijanego przez te i inne maszyny. Evan, siedzący w swym kantorku, urządzonej jak zwykle w przyczepie kempingowej, czuł się oszołomiony i podenerwowany.

Mijał drugi tydzień, od kiedy wkroczył na kolejny plac budowy. Robota nie bardzo mu szła. Ciągłe były z czymś problemy. A to zawiedli dostawcy, a to zerwała się w środku dnia burza, a to raport rzeczoznawców nie nadchodził. Do kompletu brakowało już chyba tylko nalotu szarańczy.

W polu widzenia Evana pojawił się Tom. Majster zapukał w otwarte drzwiczki i postawił nogę na stopniu przyczepy.

– Jest kłopot... – zaczął. – Generator siadł. Posłałem już Jamesa do miasta po nowe uszczelki.

Evan zaklął głośno i z taką energią odstawił swój kubek z kawą na światłokopie planów budowy, że je ochlapał, co oczywiście wywołało nową porcję przekleństw.

A więc mamy i szarańczę, pomyślał i zaczął nerwowo ścierać kawę papierową serwetką.

Tom, ignorując wybuch Evana, zdecydował się na wejście do przyczepy.

– A poza tym jak tam... – zawiesił głos – jak tam twoja stopa?

– Całkiem nieźle – wzruszył ramionami Evan. Była to nieprawda; bolała go jak cholera, ale postanowił, że nie będzie tego zauważał. Wczoraj złamał dwa palce, gdy w trakcie sprzeczki z pewnym durnym inspektorem kopnął ze złości wielki głaz. – No dobra, Tom – odchrząknął. – I co tam masz jeszcze oprócz generatora?

Brygadzysta opadł na najbliższy stołek.

– Hm, na przykład te wiertarki udarowe...

– Co? Co do diabła! Też się psują?

– No, niby nie. Ale mógłbyś je wszystkie powyrzucać.

– Co ty pleciesz? Dlaczego powyrzucać?

– Ano tak. Bo ty sam wystarczasz tutaj zamiast tych udarówek. Ostatnio bez przerwy się tłuczesz, wiercisz, rzucasz...

Evan poderwał się.

– Tom, doprowadzisz mnie do szaleństwa! Tom poprawił się na stołku.

– Nie muszę. Sam się doprowadzasz.

– Ja? Ja nie wiem, o czym mówisz. – Ani nie chcę wiedzieć, coś dopowiedziało w głowie Evana. – A w ogóle wiesz co, chłopie...? Najlepiej bierzmy się już do roboty. I tak nie trzymamy się harmonogramu.

– Możemy zapomnieć o harmonogramie... jak twoja załoga podziękuje ci za robotę i odejdzie.

Evan ściągnął brwi.

– Co? Kto odejdzie? Są jacyś chętni...?

– Na razie nie. Ale jeśli dalej będziesz tak warczał na ludzi... jak pies.

Oczywiście, on ma rację, pomyślał Evan. I ostatecznie wiadomo też, skąd ta cała szarpanina. To wszystko przez Marcy.

Nie mógł zapomnieć tej kobiety. Ani przez jeden dzień, ani przez godzinę; prawie i przez minutę nie potrafił o niej nie myśleć. Źle spał, źle jadł, źle przez nią pracował.

Tęsknił. Tęsknił do jej uśmiechu i do śmiechu, do sposobu, w jaki ściągała usta, popadając w głęboki namysł. Tęsknił do rozmów z nią, wspólnych posiłków. Po prostu do wszystkiego.

Nic takiego nie przydarzyło mu się jeszcze dotąd w życiu. Żadna kobieta nie zamieniła go w kłębek nerwów. Nie sprawiła też, aby opuścił się w pracy. No i żeby doszedł do wniosku, iż dusi się w tej miłej przecież przyczepie kempingowej.

Nie sprawiła, aby zaczął się czuć taki samotny.

Nie rozmawiał z Marcy, odkąd pożegnali się w Wolf River przed jej odjazdem na lotnisko. Odjechała z Shelby, która też wracała do Los Angeles.

No i tak... Panna Pruitt wróciła do swego L.A. i do życia w popkulturze. Życia wśród fanów i pod opieką prywatnych detektywów. Narazona na podstępne sztuczki różnych paparazzi z tabloidów.

Evanowi bynajmniej nie imponowało takie życie.

Ale imponowała mu Marcy. Marcy była mu bardzo potrzebna.

Że też nie zdołał się jakoś wywieźć, co też ona do niego czuje! Mógłby do niej teraz zadzwonić i zapytać... Ale chyba nie zadzwoni. Bo jakże zawracać jej głowę w czasie, gdy przygotowuje się do swojego telewizyjnego show, do własnego programu.

Westchnął. Opadł na stołek naprzeciw Toma.

– A więc, mówisz, że jestem jak wiertarka udarowa. I że warczę jak pies.

Tom skinął głową.

– Uhm. I to pies pełen pcheł.

Do diabła. Evan przeciągnął dłonią po od dawna niegolonym po policzku.

Do diabła, coś trzeba z tym wszystkim koniecznie zrobić.

No tak, to już wiadomo, że trzeba. Tylko co zrobić... No właśnie, co?

– Dziesięć minut do wejścia na antenę. – Sean Monahan, reżyser „Prawdziwego życia z Marcy Pruitt”, pomachał plikiem notatek. – No i jak samopoczucie, Marcy?

Uśmiechnęła się, chociaż w żołądku coś ją ścisnęło i ręce jej drżały. Krzątające się przy niej Helen i Anna dokonywały ostatnich ulepszeń aranżacyjnych na pulpicie, za którym miała stanąć podczas pokazu. Oświetleniowcy i dźwiękowcy wymieniali fachowe uwagi. Kamerzyści próbowali optymalnych ujęć.

Trzeba oddychać głęboko, przypomniała sobie, po czym zamknęła oczy, bo podeszła charakteryzatorka, aby ją oprószyć świeżą warstwą pudru. Dziś ma nie tylko debiut na antenie, myślała dalej, ale i publiczny debiut w „nowym wcieleniu”. Uda się to wszystko czy nie uda? Wóz albo przewóz. Zobaczymy.

Wciąż nie otwierała oczu, próbując się uspokoić. Zaczęła sobie wyobrazać, że jest na pustej plaży. Przed nią – tafla błękitnej wody. Drobnutkie fale wbiegają na brzeg. Piasek jest miękki i ciepły... Cudowna, odprężająca samotność.

Nie: jednak nie samotność! Bo oto dostrzega obok siebie Evana. Evan jest opalony i mokry, ponieważ przed chwilą pływał. Uśmiecha się do niej, a ona w odpowiedzi wyciąga rękę i...

I wizja pierzcha.

Ech, głupota, pomyślała.

Tylko czyja głupota? Jej? A może i on miał w tym swój udział?

Na pewno oboje byli głupi.

– Przestań się marszczyć, skarbie. – Trixie, charakteryzatorka, na chwilę przerwała swoje zabiegi. – Bo zrobią ci się pudrowe kreski.

No i co z tego? przemknęło przez głowę Marcy. Czymże są jakieś tam kreski w zestawieniu ze złamanym sercem? .. Kiedy opuszczała Wolf River myślała, że oto zamyka jakieś drzwi. Myliła się.

Cierpienie trwało i trwa nadal.

– Pięć minut! – odezwał się ze swej reżyserki Sean Monahan.

Otworzyła oczy. Powrócił ucisk w żołądku, ale dyskomfort ten o dziwo miał swoje strony dodatnie, bo odwracał uwagę od bardziej zasadniczych powodów duchowego znękania. Praca, praca i jeszcze raz praca: oto co w istocie pomagało teraz Marcy żyć.

– Marcy! – zawołała do niej Helen. – Chciałabym ci coś powiedzieć.

– W tym momencie? Mamy już tylko parę...

– Oczywiście. – Helen szybko uściśniła ramię Marcy. – Ale chcę, żebyś wiedziała, jaka jestem z ciebie dumna.

– Dzięki. – Marcy nerwowo zerknęła w stronę reżyserki.

– Nieraz bywałaś na mnie zła. Ale ja zawsze chcę tylko twego dobra. I teraz też...

– Helen, myśmy to już przecież wałkowały, prawda? Wszystko jest w porządku.

– No dobrze, dobrze. – Helen jeszcze raz uściśniła Marcy. – Moja kochana dziewczynka. – Niespodziewanie w jej oczach pojawiły się łzy.

Marcy zmusiła się do opanowania. Tego tylko brakowało, żeby się teraz obie rozpląkały. I to na początek raczej wesołego programu.

Reżyser zaczaj odliczać.

– Pięć, cztery...

Marcy szybko stanęła przy zaimprovizowanym blacie kuchennym, gdzie miało się zacząć dzisiejsze show.

– ...Dwa, jeden, zero.

– Witajcie w programie „Prawdziwe życie z Marcy Pruitt” – odezwała się Marcy, przeczekawszy inicjalne oklaski zgromadzonej w studiu publiczności. – To ja jestem Marcy Pruitt i poprowadzę tę audycję. Wiem, że niektórzy pokręcą głową i powiedzą, że ja to nie ja, bo pamiętają mnie inną... Wobec tego – Marcy sięgnęła po okulary leżące na blacie i włożyła je – proszę bardzo. Teraz mnie poznajecie?

Następnie wyjaśniła, że tego lata poczuła wolę bożą i musiała się trochę zreformować. I że chętnie pogada z widzami o tej swojej przemianie, jak też i o innych sprawach. Proszę dzwonić pod takie a takie telefony, albo mailować...

– No a nasz program – dodała i uśmiechnęła się do kamery – zaczniemy od pokazu samodzielnego projektowania zaproszeń na różne okazje. Potem przejdziemy do sztuki wypieku ciasteczek karmelowych, a jeśli wystarczy nam czasu, to opowiem, jak przedłużać życie ciętym kwiatom w wazonach... Teraz zaś moi kochani – Marcy znów uśmiechnęła się do kamery, ale innej – nie odchodźcie od odbiorników, ja na chwilę znikam, bo będą reklamy, ale za chwilę znów mnie zobaczycie.

Wykonano cięcie i na wizji w istocie pojawiły się reklamy. Marcy odetchnęła głęboko, pomachała do oklaskującej ją publiczności i ruszyła ku stanowisku, skąd miała za chwilę poprowadzić pierwsze show, to z zaproszeniami.

Jak dotąd wszystko idzie dobrze.

Po chwili dano jej znak z reżyserki i Marcy znów uśmiechnęła się do kamery.

– A więc, moi drodzy, zaczynamy od pokazu robienia zaproszeń. Pomyślałam, że mogłyby to być zaproszenia ślubne.

Sięgnęła po odpowiedni egzemplarz leżący na pulpicie i w tejże chwili zdała sobie sprawę, że kartonik jest nie taki jak ten, który przygotowała wczoraj.

A więc pierwsza wpadka, pomyślała, starając się jednak niczego nie dać znać po sobie. Uniosła złożone na pół zaproszenie, pokazując je kamerze, która wykonała najazd i zbliżenie. Najpierw okładka, potem koronkowa, tak jest, zakładka... Nagle serce w niej zamarło. Pod origami w formie ptaszka, który rozłożył właśnie skrzydełka, dostrzegła tekst:

Evan Carver i Marcy Pruitt będą zaszczyceni, mogąc was gościć na swym ślubie, któregokolwiek dnia i miesiąca – wedle fantazji Marcy. I oby to się stało jak najprędzej.

Evan Carver.

Jezus, Maria, cóż to za żart! Przełknęła ślinę; czuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Kto mógł jej zrobić coś takiego!

Sekundy płynęły, a ona wpatrywała się oniemiała w wykaligrafowane słowa. Wtem czyjaś ręka dotknęła jej ramienia. Odezwała się za nią Helen.

– Hej, Marcy, podnieś główkę. I patrz.

Spojrzała.

No i zobaczyła – jego zobaczyła.

Evan! Tak, to był on. Podnosił się właśnie z fotela w ostatnim rzędzie widowni; był w garniturze; miał ze sobą bukiet róż. Skupił się na nim reflektor punktowy; skierowały się nań kamery.

Marcy nie mogła mówić, nie mogła prawie oddychać. A on zaraz stanął przed nią i wręczył jej bukiet, podał też rękę i wyprowadził ją zza pulpitu.

Kiedy ukląkł przed nią, myślała, że zemdleje.

– Marcy Pruitt – odezwał się. Patrzył jej prosto w oczy, sięgając do kieszeni i wydobywając małe pudełeczko. Otworzył je i podał. – Czy wyjdiesz za mnie?

Czy wyjdiesz za mnie?

Spojrzała na Evana, potem na publiczność. Na widowni wszyscy wstrzymali oddech. Zerknęła na Helen i Annę. Obie uśmiechały się, ściskając jedna drugą.

No, my jeszcze ze sobą pogadamy, pomyślała.

Choć raczej nie teraz, bo w tej chwili ma inne zajęcia.

Przeniosła wzrok na pierścionek z diamentem lśniący w pudełku.

– Czy wyjdę za ciebie... – powtórzyła słowa Evana, jako że nic lepszego nie przyszło jej w tej chwili do głowy.

– Właśnie, czy wyjdiesz? Bardzo cię o to proszę.

– Ja... – Poczula nagle, że pieką ją w gardle łzy. –Ja... No tak, oczywiście – szepnęła. – Tak, wyjdę! –I rzuciła mu się w ramiona.

Wtedy on ją pocałował, i to tak pocałował, jakby oboje byli tutaj całkiem sami. Jakby nie było żadnej publiczności, kamer i nie oglądało ich na żywo kilkaset tysięcy ludzi, siedzących przy swych odbiornikach.

Audytoryum studyjne poderwało się na nogi, klaszcząc i wznosząc okrzyki. Z reżyserki wybiegł Sean Monahan i, przekrzykując hałas, powiedział do jednej z kamer:

– Oto „Prawdziwe życie z Marcy Pruitt"!... Naszych widzów prosimy o pozostanie z nami. Zjawimy się znów na antenie za parę chwil. Oczywiście po reklamach.

Obrócił się w stronę Evana.

– Reklamy potrważą trzy minuty, potem mamy pięciominutowy spot z producentem naszego show. Marcy wraca na plan... tak, za osiem minut. I tyle wam w tej chwili mogę dać. Osiem minut ani sekundy dłużej.

Marcy tuliła się cały czas do Evana. On pochylił się i znów ją pocałował.

– Kocham cię – szepnął.

– Ja ciebie też kocham – odpowiedziała z zamkniętymi oczami. – Ale... – dodała i zamrugła powiekami. – Słuchaj, jak tyś to wszystko... i kiedy...

Położył jej palec na ustach.

– Szalałem bez ciebie. I doprowadzałem wszystkich naokoło do szaleństwa. Myślę, że gdybym tu nie przyjechał, moi ludzie i tak wysłaliby mnie do ciebie, pocztą, związanego.

– Chyba by mi się to nawet podobało. – Marcy uśmiechnęła się.

– Uhm. Ale mnie nie podobało się już dalsze zwleka nie, Natychmiast musiałem się znaleźć przy tobie. W twoim życiu... Jakikolwiek ono jest – Rozejrzał się po studiu. – .. Jakikolwiek ono jest, akceptuję je – dokończył. Skinęła głową.

– To pięknie. Ale powiedz mi jeszcze, skąd przyszło ci do głowy, żeby mi się oświadczyć właśnie tutaj, przed kamerami?

– Ach – wzruszył ramionami. – Częściowo był to pomysł Helen.

– Ach tak! – Marcy poszukała wzrokiem swej szefowej. – No tak, takie rzeczy są w jej stylu.

– Obgadaliśmy to oczywiście także z producentem i z reżyserem.

– Czyli wszyscy spiskowali za moimi plecami.

– Byliśmy pewni, że dzielnie to zniesiesz. – Evan zaśmiał się. – Ja, no cóż... Ja miałem maksimum szans, że nie dasz mi kosza. Bo jak to zrobić, na oczach tysięcy widzów?

– Ty spryciarzu!

– Wcale nie byłem pewien, co do mnie czujesz...

– Naprawdę nie byłeś? – Marcy przytuliła twarz do jego policzka. – Ech, wszystko zrobiłabym dla ciebie. Mogłabym nawet zrezygnować ze swojej kariery, gdybyś tego chciał.

– No nie. – Uniósł dłonie w teatralnym geście. –Gdzieżbym śmiał... Zasmucilibyśmy tłumy fanów spragnionych twego instruktażu na temat ciasteczek karmelowych albo przedłużania życia ciętym kwiatom.

Dała mu lekkiego kuksańca w bok,

– No, nie kpij ze mnie! Powiedz lepiej... – zawiesiła głos – powiedz, co, na przykład, będzie z twoim przedsiębiorstwem?

– E, to jest drobiazg. Zamknę interesy w Teksasie i przeniosę się do Los Angeles. Tu założę główną kwaterę. .. W mieście mojej żony – dodał z uśmiechem.

Żony... Marcy nie mogła się nie wzruszyć na dźwięk tego słowa. Zaczęła szybko mrugać oczami, aby pokonać łzy, gotowe popłynąć z jej oczu. Łzy w tym momencie były przecież wykluczone. Za chwilę miał nastąpić przecież dalszy ciąg programu.

Później, później będzie można sobie popłakać. Z obfitym użyciem chusteczek papierowych. Choćby całego pudła.

– A propos spraw budowlanych. – Evan spoważniał. – Jak jest właściwie z tym twoim małym domkiem, o którym opowiadałaś? Bo mówiłaś mi kiedyś, że jest bardzo mały. Starczy dla nas dwojga?

Uśmiechnęła się, nieco zakłopotana.

– No, nie jest on taki mały. Ma czterysta metrów kwadratowych.

– Czterysta metrów! – gwizdnął cicho Evan. – Ach tak! No, to myślę, że i gromadkę dzieci w nim pomieścimy?

Żona. Dzieci. Rodzina. Czegóż potrzeba więcej...? W tym momencie Marcy, mimo ogromnego wysiłku, nie mogła już powstrzymać łez.

Evan objął ją i przycisnął usta do jej skroni.

– Musimy ustalić, kiedy i gdzie odbędzie się nasz ślub.

– Co do kiedy, to trzeba by zajrzeć do kalendarza. A gdzie...? – Podniosła błyszczące od łez oczy. – Jest w Teksasie taka skromna, a wspaniała kapliczka...

Evan, uśmiechając się, pocałował ją w czubek nosa.

– Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz.

– Marcy! – Z reżyserki wybiegła niespodzianie Helen. – Wyobraź sobie, że telefony i maile do ciebie zablokowały wszystkie linie! Ludzie kochają cię...

Gdyby Helen nie zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, Marcy mogłaby jej powiedzieć, że tak naprawdę potrzebuje tylko jednego człowieka, któryby ją kochał...

A ten człowiek, pomyślała, całując się znów z Evanem, trzyma ją właśnie w tej chwili w ramionach.